

Tematy

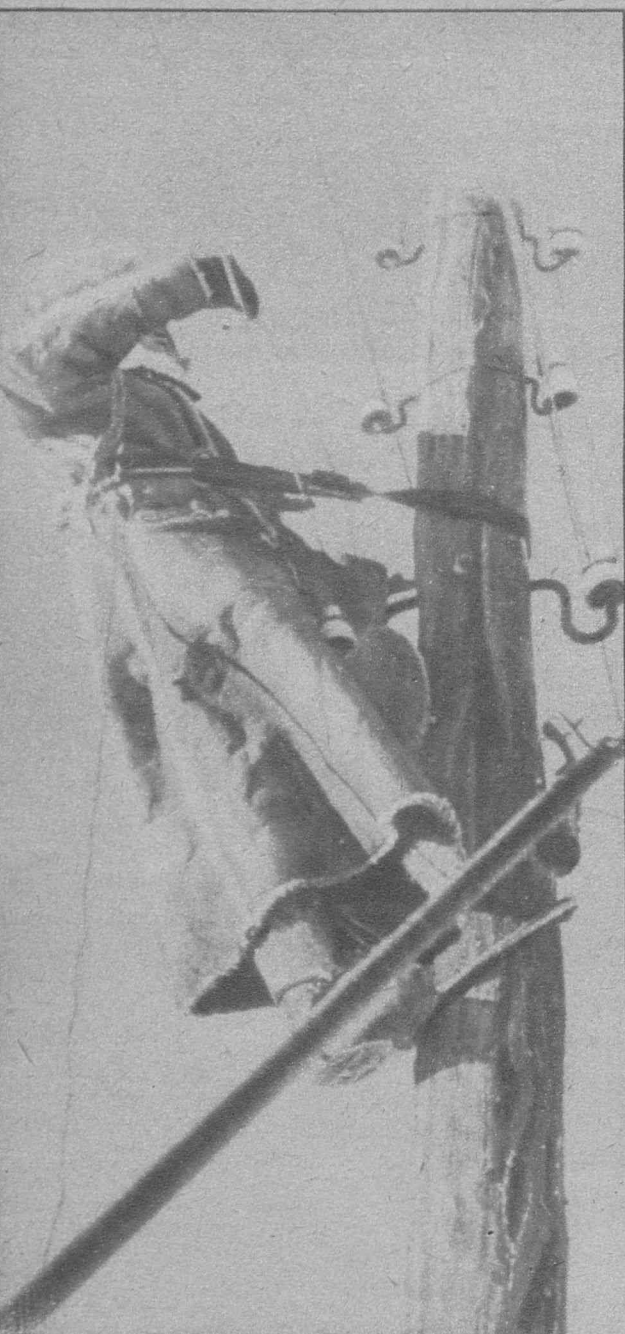
PR POLSKI



Młoda Albanka

Do naszego reportażu
wewnątrz numeru

Fot. Ilse Steinhoff

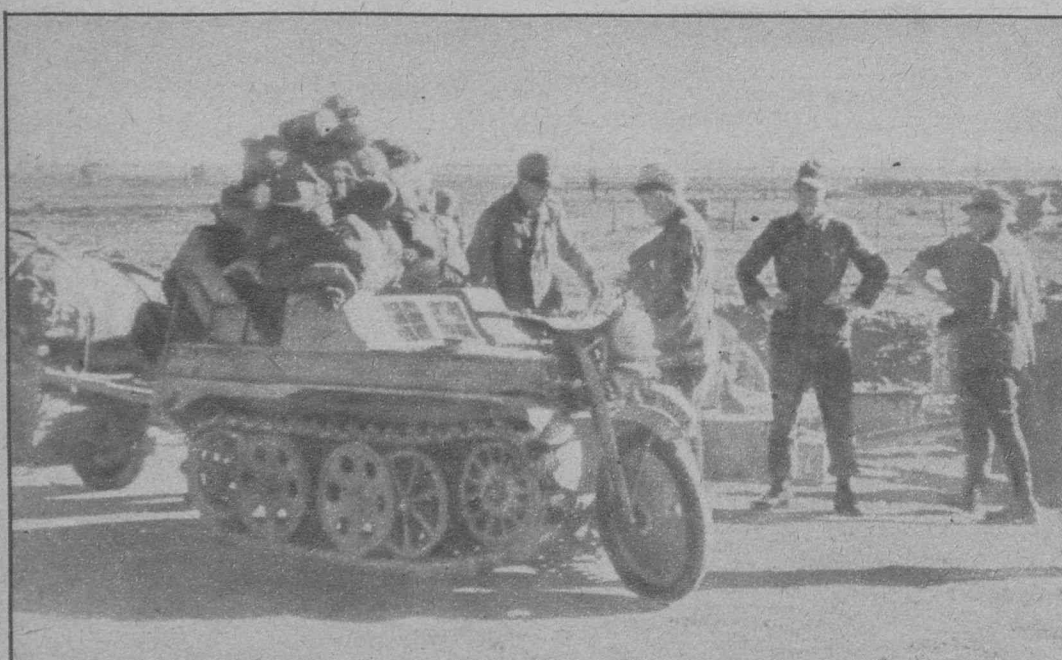


PRZEZ ŚNIEGI I LODY
bez względu na pogodę, nie doznając żadnych przeszkód odbywa się
transport zaopatrzenia na front niemiecki.

NA WSCHODZIE I NA POŁUDNIU

POŁĄCZENIE USZKODZONE!
Wprawną ręką naprawia kablowy z niemieckich oddziałów łączności uszkodzenie w przewodach.

NA LUZOWANIE
Grenadierzy z ochotniczego legionu Flandrii maszerują na pozycje.



NA FRONCIE W TUNISIE
Przybycie zaopatrzenia do obozu wojsk niemieckich.



ALARM LOTNICZY
Niemiecka artyleria przeciwlotnicza w Tunisie, gotowa do odparcia ataku lotniczego.



Fot: P.K. Wahner, Vaes, Freimann, Muck-Atlantic, Atlantic.



NA NARTACH
Patrol z hiszpańskiej kompanii narciarskiej na trasie marszowej.



**MIEDZY WZGÓRZAMI
NA FRONCIE POŁUDNIOWO - WSCHODNIEM**
schodzi ostrożnie patrol rumuński do doliny.



TUŻ ZA PRZEDNIĄ LINIĄ
Żołnierze zaopatrują kolegów w żywność, niosą obiad do okopów wysuniętych najbardziej ku nieprzyjacielowi.



W DRODZE NA TEREN WALK
Niemieccy strzelcy na nartach, artyleria szturmowa i czołgi przesuwają się do przodu ku linii frontu.

NUREK PRZY PRACY
Mimo, że powłoka lodowa pokryła już rzekę, kontynuują pionierzy niemieccy swe prace. Na ilustracji widzimy właśnie nurka zanurzającego się pod wodę. Żołnierz znajdujący się w łodzi gumowej utrzymuje z nim stałe połączenie.



W GAJU PALMOWYM
Obóz artylerii przeciwlotniczej w Tunisie.



NA LOTNISKU NIEMIECKIM W AFRYCE
Wóz zaprzęgnięty w konie przewozi ciężkie bomby z obozu na pole startowe.

Fot: P.K. Biewand, Kamm P. B.Z., P.K. Kamm, Götz, Schnerl - Scherl, Scherl.



KOBIE TY



MŁODA MATKA ZE ŚRODKOWEJ ALBANII
Nie jest ona mahometanką, dlatego nie nosi zasłony na twarzy. Według starego zwyczaju jednak wplotła swemu dziecku amulety we włosy, by go uszczepić przed złym spojrzaniem.

Fot. Ilse Steinhoff 7

RADIO W TIRANIE
transmituje często dawne pieśni albańskie oparte na motywach ludowych, śpiewane przez młode dziewczęta i chłopów w strojach narodowych.



POCHÓD WIDMI
To tylko Albanki z okolic Skutari powracają z odwiedzin w sąsiedniej wsi. Wieszczki albańskie wyznania mahometańskiego jeszcze dziś szczerze zastaniają swą twarz.



Wśród skalistych gór i przełęczy półwyspu Bałkańskiego leży mało znany kraj Albania. O tym niedostępnym „kraju białych gór”, gdzie spienione, szumiące potoki górskie znikają nagle w podziemnych pieczarach, snuł Grek starożytny piękną legendę; wierzy, że przez te tajemnicze pieczary oddala się dusza zmarłego w smutną krainę cieni i zapomnienia ziemskiego bytu.

Położenie i struktura fizyczna Albanii uczyniły zeń naturalną twierdzę niedostępną jakimkolwiek wpływom kulturalnym z zewnątrz, żyjącą swym własnym, zacofanym i spóźnionym o jakieś 200 lat rozwoju, życiem. Tylko na pograniczach wsiąkają powoli obce wpływy i kraj ulega stopniowej przemianie wzorując się na sąsiednich Grekach, Turkach, Włochach czy Słowianach. Związane z tym wpływy wioskie po zajęciu Albanii wzmogły się niewątpliwie i przyczyniają w dużej mierze do europeizacji tego kraju. Albania dzisiejsza przeżywa chwilę decydującej ewolucji. Ewolucja objęła między innymi i kobiety, wywiodła je z domów i stanu ponurego niewolnictwa na szerokie, jasne forum publicum. Odwieczne tradycje Albańczyków goreją i stapiają się w strumieniu nowego życia. Jeszcze dziś w górach północnej Albanii pędzą bezradność



WE WSI MNISZEK DOMOWYCH
Na naszej ilustracji widzimy po lewej stronie młodą żonę w bogato haftowanym stroju. Obok niej w białej sukni, jaką noszą młodziutki dziewczęta „mniszka domowa”, która prowadzi gospodarstwo brała i jest pierwszą kobietą w domu.

JAK PRZED SETKAMI LAT
przódzie i dziś Albanka według zwyczaju swych przodków.

życiowi pozbawione wszelkich praw kobiety, zmuszane do ciężkich robót jak niewolnice i jako takie niejednokrotnie sprzedawane i kupowane. We wioskach tej części kraju spotykamy jedynie na świecie instytucję „domowej zakonniczki”. Zakonnica to jest kobieta, która złożyła uroczysty ślub, iż nigdy nie wstąpi w związki małżeńskie. Nie jest to bynajmniej ślub czystości, a te domowe mniszki pędzą życie tak swobodnie jak mężczyźni. Nie wiasty te nie-

dzielniły się poniekąd. Wiele dawnych obyczajów narzuca religia; zamieszkuje wschodnią połac kraju mahometanki okrywają się czarnymi zgodnie z tradycją i przepisami religijnymi. Tymczasem chrześcianki cieszą się dużą swobodą w poruszaniu się w miejscach publicznych. Do dziś jeszcze spotyka się u kobiet w Albanii stare kostiumy suto haftowane i ozdabiane złotymi monetami i łańcuchami. Przeważnie jednak Albanki — zwłaszcza mieszkanki miast — oddalają się od swych tradycji, zrzucają bogate malownicze szaty i przywdziewają praktyczne, lekkie, stroje miejskie. Obserwując głębiej życie kobiet dzisiejszej Albanii musimy stwierdzić, że współczesna Albanka prędko przeszła od tradycji do życia nowoczesnego. Postęp zaczyna się od pogranicza i miast obejmuje wszystkie tereny, warstwy i dziedziny życia, a Albanka w swej emancypacji odbywa daleką drogę od pozbawionej praw niewolnicy do studentki, faszystki czy robotnicy. Spieszy więc radośnie i gorączkowo do wyzwolonego życia nowoczesnej kobiety, nie przeczuwając, że pod złudną przesłoną słonecznej wolności, swobody i radości, kryje ono ciężką odpowiedzialność, pracę, a bodaj głębsze smutki.

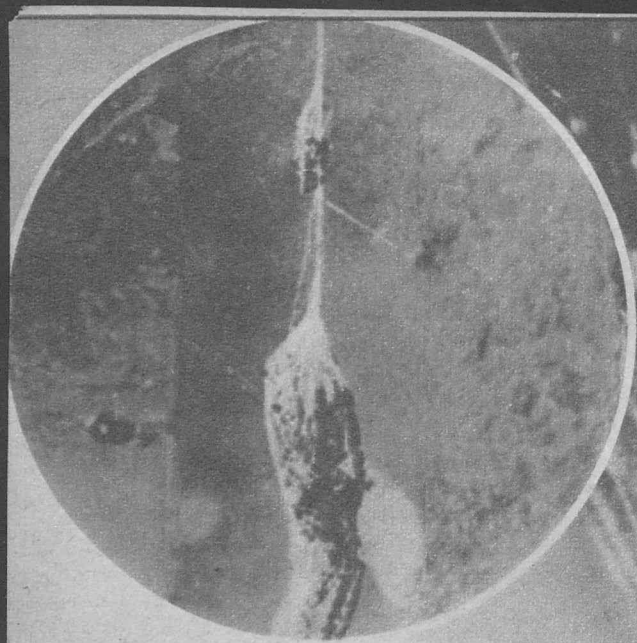
MOŻE KREMU NA CERĘ!
Nieraz widzi się na targu w Skutari bogatą Albankę w pięknym stroju narodowym. Niesie coraz rzadziej na polityka się w miastach owe piękne, bajecznie kolorowe szaty.

kiedy przywdziewają strój męski i wykonują ciężkie prace w polu. Przysługuje im pierwsze miejsce w domu i prawo noszenia broni. Te mniszki domowe poświęcają całe swe życie rodzinie, a w wypadku braku potomka męskiego ciąży na nich obowiązek wykonania zemsty rodowej, t. zw. „Vendetty”. (Powodem jej bywa morderstwo któregoś z członków rodziny. Obowiązek pomsty przechodzi z pokolenia na pokolenie). Natomiast w południowej części Albanii, graniczącej z Grecją życie kobiet jest o wiele swobodniejsze. Mieszkanki większych miast zerwały już od wielu lat z surowymi tradycjami swej ojczyzny i usamo-

ALBAŃSKIE

KOBIE TY Z GÓR PÓŁNOCNEJ ALBANII
całymi godzinami wędrują one przez drogi i górskie ścieżki na targ do odległych miast. Albanka jadąca na koniu trzyma przed sobą na siodle kołyskę z niemowlęciem.

WALKA O BYT



Powyżej i na prawo:

Oto niezwykle zdjęcie uwidoczniające zacieklą walkę o śmierć lub życie w przyrodzie. Wąż, zaplątawszy się w sieć pajęczą, walczył beznadziejnie — mimo swej wielkiej przewagi pod względem siły i wielkości — przez cztery dni z pajakiem, który coraz to silniej omotywał jego głowę swą zdradliwą, na pozór tak słabą siecią.

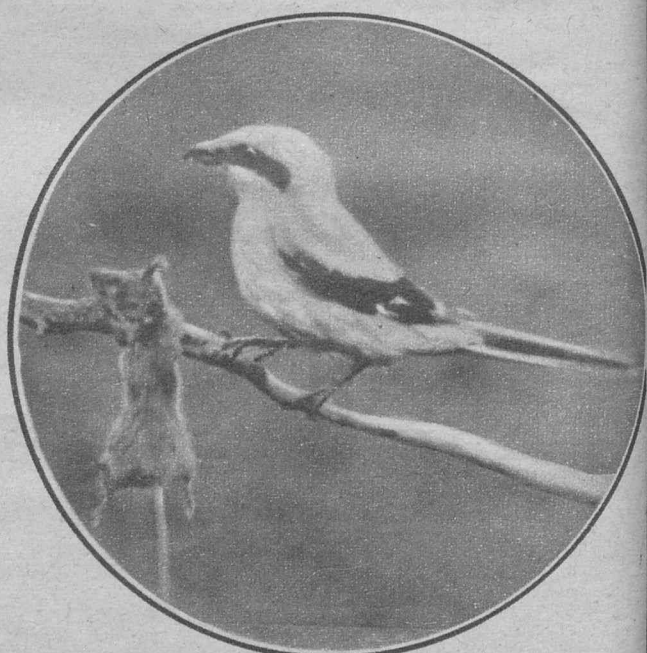
Powyżej:

Walka o byt w przyrodzie, ta walka silniejszych ze słabszym, nie ustaje nawet w nocy, jak to widzimy na załączonym zdjęciu. Oto sowa błotna żywi upolowaną myszą swe potomstwo. W tym wypadku, jak zresztą i w wielu innych walka o byt w świecie zwierzęcym wychodzi nam na pożytek: giną w niej myszy, jedne z najgroźniejszych i najtrudniejszych do zwalczania szkodników polnych, dających się nam we znaki, zwłaszcza w czasie zbiorów. Toteż sowy, ptaki drapieżne, przystosowane specjalnie do łowów nocnych, w porze, w której myszy najczęściej żerują, zasługują — jako główne ich tępielki — na specjalną ochronę.



Na lewo:

Sokolik — drapieżnik mniejszy od jastrzębia — lubi gnieździć się na skraju lasów lub na samotnych drzewach polnych, skąd ma dobry przegląd okolicznych pól. Poluje głównie na myszy i większe owady, jakkolwiek nie gardzi i ptaszkami, jak to widzimy na zdjęciu. Tego rodzaju wybryki można mu jednak wybaczyć, w tępieniu bowiem myszy i innych, im pokrewnych szkodników polnych jest mistrzem niezrównanym.



Poniżej:

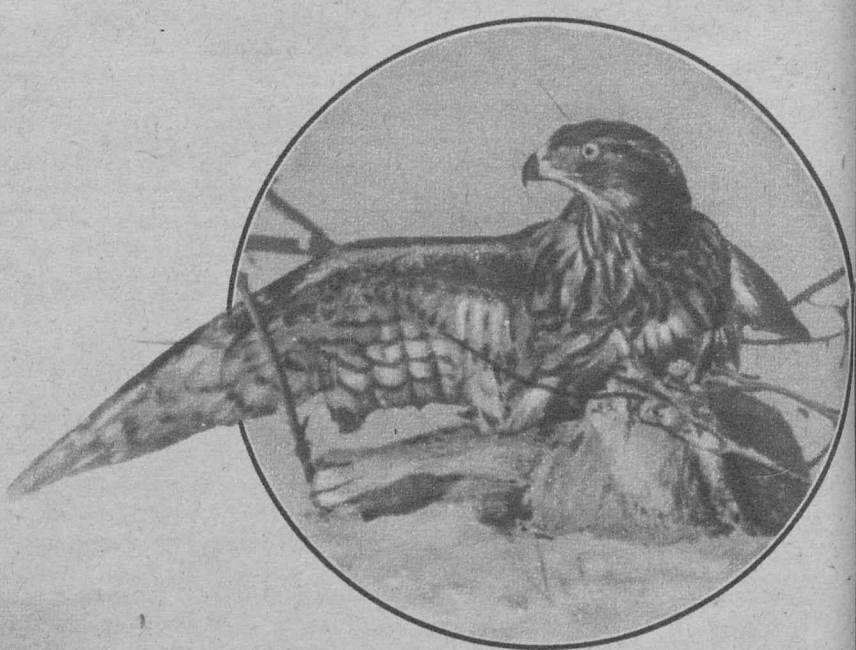
Ryś, największy nasz drapieżnik z rodziny kotów, zajęty spożywaniem świeżo upolowanego dzikiego królika. Obecnie występuje u nas już stosunkowo rzadko w puszczach Karpat i Białowieży, częściej natomiast spotkać go możemy w hodowlach zwierząt futerkowych, dostarcza bowiem cenionych i ciepłych futer.

Poniżej na prawo:

Mroźne, śnieżne dni wbrew przypuszczeniom sprzyjają drapieżcy. Dziki królik nie mogąc znaleźć pod śniegiem innego pożywienia zajęty był ogryzaniem młodych pędów. Łatwo widoczny na białym tle śniegu padł ofiarą krwiożerczej drapieżności jastrzębia. W lecie, dzięki swej szarej barwie, łatwo mógł ująć wzrokowi swego prześladowcy.

Powyżej:

Dzierzbę srokosza, ptak niezwykle drapieżny, o specjalnie na pozór sadystycznych skłonnościach. Nie mogąc od razu zjeść wszystkich upolowanych zwierząt, jak gąsienice, owady, myszy a nawet i pisklęta, sporządza sobie z nich zapasy, nabijając je chwilowo na ciernie lub ostre końce gałązek. Myliłby się jednak, kto by posądzał go o egoizm. Dostarcza w ten sposób pożywienia samicy, która siedząc na jajach nie może zbyt daleko oddalać się od gniazda celem zaspokojenia głodu.



Tekst Łuk.
Fot. Archiwum

— Czemu z nich duszę do swego wozu i wyciągnął z niego torbę. —
— Ieli w niej słoninę, suchą szynkę, er i chleb.

— No, chłopcy, przegryźcie — zekł Iwe i zaczął pierwszy. — Święty Mikołaju podróżniku, błogostawiam i bądź nam ku pomocy!

— Przysuń się Maryś.
— Dobrze, dobrze.
— A ty, Luka?
— Nie mogę. Nie jestem głodny. Jedli wszyscy, a Luka podszedł do swoich koni, gaskał je, poklepywał i wycierał sianem.

— Moje złote, tylko wy sobie pojedzcie... —
— Jryj i ty, lisku, mała odrobino, jryj i ty. Znowuś mój... Wściecie mój żywicielu... Pośpiesz się, pośpiesz się, bo wnet pojedziemy... Moje złote.

— Luka, a chodźże jeść! — zawołał go Marek.

— Chłopak się wstydzi jeść przy dziewczynie — żartował Iwe.

— A jakże ja się nie wstydę przy nim?

— E, bo on z pańskiego rodu, moja cORO, tyś nasza graniczarka. Obijał się parę lat po świecie i zaraz z kierpca zrobił się bućik.

— Nie pleć, stryku, ale pośpiesz się —
— Jedźmy — odpowiedział Luka. — Moje złote agniątka, mój kasztanku, jryj, jryj ino i nie słuchaj co oni mówią. — Pośpieszcie się, ludzie, konie nam ochłodną.

— Nie zmarzną. Dobrze są okryte.

— Wszystko jedno. Tyś też ubrany, a zimno ci.

— No, jedźmy — rzekł Iwe i wstał. — Wo-

— albym stracił głowę, niż żeby mi mój mały zachorował. Ale jak Bóg da, nie zachoruje. Moje bydlatka... moje kochane... No, ruszajcie się, ludzie. Zdejmujcie worki z obrotiem i ruszajmy.

— Szybko przygotowali się do drogi.

— Zamotaj się, Maryś.

— Jużem się zamotała. Nie bój się.

— No, dopomóż, Panie Boże i święty Mikołaju podróżniku! Wio, mały! — krzyknął Iwe strzeł z bicza. Konie ogładnęły się trochę, blaszki zadzwoniły i wszystko ruszyło powoli.

— Wozy skrzypiały ciężko.

— O święty Antoni Padewski, uchowaj nam nasze konie — westchnął Marek, idąc powoli przy wozie i potrząskując biczem.

— Od gajówki do granicy lisko-dalmackiej nie na już nawet pół kilometra, ale droga okropna. Konie nie mogą iść jak tylko noga za nogą. Jeszcze ten kawałek drogi zasłonięty jest lasem, a potem zaraz od granicy zaczyna się stromizna i pusta kamienna goliźna, gdzie burza wyprawia najwścieklejsze orgie rozsławiając siły i mocy.

— No, teraz jużemy w pazurach diabła — odezwał się Iwe.

— Niech Bóg będzie z nami i krzyż święty! — Ależ się diabli zerwali!

— No co! Gdyby i nie było granicy, nie zostawilibyśmy burzy za sobą. — rozmawiali z sobą Iwe i Luka przybliżając się jeden do drugiego.

— Wio, mały!

— Wio, malutki! Jeszcze trochę.

— Im bardziej zbliżali się do granicy, tym burza stawała się oczywiście coraz to silniejsza. Woznicom wzdymała gunie i targała nakrycia z wozów, lecz nie mogła im nic zrobić, gdyż były silnie powiązane powrozami.

— Boże, dopomóż! Ale się diabli zerwali!... Ludzie, teraz czas siadać na wozy — rzekł Iwe wyskoczył na swój wóz.

— Dalej, Maryś, siadaj — rzecze Luka.

— Bo co?

— E, nie można już iść od burzy. Pozrzucaliby nas z drogi. Siadaj tu na lewo a ja siadę po prawej stronie. No, wydrap się!

— Konie stanęły, a Marysia siadła na wóz.

— Popędzaj, Luka, co stoisz?

— Zaraz, tylko siedziemy — odparł i wyskoczył na dyszel, trzymając się jedną ręką podkulką. W imię Jezusa i Marii! Wio!

— Jechali teraz nieco prędzej, a burza dęła, jak gdyby wszystko miała potargać w kawałki i unieść w nieskończoność.

— Może nam jeszcze wozy powywracać — rzecze Luka.

— Nie przewróci, jak Bóg da — odrzekła Marysia cicho. Trzęsła się cała.

— Zimno ci?

— Tak, dość zimno.

— Przyciśnij się do mnie, to będzie ci cieplej.

— Dobrze mi i tak.

— Nie bądź głupia. Dlaczego się odsunęłaś? — rzekł i przyciągnął ją ręką ku sobie.

— O, widzisz, tak. Teraz nam będzie zaraz cieplej. Milczała, a on obejmował ją i przyciągał ku sobie.

— Prawda, że teraz cieplej?!

— Tak.

— Widzisz, ja ta już dobrze wiem. Przysuń się jeszcze bliżej, pod moją gunię.

— Mam i ja gunię. Tobie będzie zimno.

— Nie bój się ty o mnie. Mam kożuch i kaftan i kapotę i na to wszystko jeszcze gunię. Mnie ciepło.

— Luka uniósł się trochę i rozchylił swoją gunię.

— No, siadaj na niej, to cię otule.

— Nie, daj spokój. Zostaw.

— Nie, nie! Siadaj, jak ci mówię. O tak. Teraz ci jeszcze ładniej, a nawet nam nie ciasno.

— Marysia było rzeczywiście zimno, więc nie gniewała się, że ja tak otulał i przytulał. Było jej całkiem przyjemnie i poddawała mu się zupełnie jak bratu. Czula, jak od niego płynie gorąco i przenika całe jej ciało tak miło, tak przyjemnie, tak rozkosznie.

— Podczas gdy ci dwoje omotowywali się i za-



L. BUDAK

tłumaczył z chorwackiego Podmajerski

gadywali z sobą, od innych nie było słyhać żadnego głosu. Bardzo rzadko tylko dochodziło głucho pokrzykiwanie na konie. Brzęk uprząży, skrzyp kół i ostre dyszenie koni — to wszystko lękał i unosił z sobą straszny świst burzy.

— Naraz usłyszeli oboje, jak u Iwa coś łupnęło. Nie widzieli nic.

— Oho! Diabłu na wieczność! — krzyknął Iwe i zeskoczył z wozu.

— Co tam, stryku?

— A, żeby to diabli wzięli! Ale dmucha!

— Co to było?

— Porwał mi wiatr worek ziemniaków i diabli je wzięli.

— Leć, może jeszcze chwycisz — rzekł Marek i skoczył ku niemu.

— Juźci! Nawet boginki by go już teraz nie znalazły. Diabli wiedzą, gdzie jest już teraz.

— Czekał, pójde z latarnią — rzekł Marek i wziął światło aby poszukać, lecz nie zrobił nawet dwóch kroków od kraja drogi, gdy go chwyciła burza i chciała nim rzucić o kamienie.

— Padł szybko brzuchem na drogę uderzwszy latarnią o koło. Szkło prysnęło, a światło zgasło. Chwilę zapanowała grobowa cisza. Nikt nie wiedział, co się stało. Iwe przybiegł na miejsce, gdzie przed chwilą był Marek.

— Marek!

— Co takiego?!

— Co się z tobą stało?

— A nic. O mało nie poszedłem szukać twojego worka.

— Bardzo się stłukł?

— Nie boję się.

— Iwe nie odzywał się więcej. Milczał i ledwo wyczekiwał chwili, żeby się stąd oddalić.

— Dość prędko i bez żadnych dalszych przypadków dotarli pod Próg.

— Gdy dojechali pod „kasarnię“, zastali jedne i drugie wrota zamknięte. Iwe skoczył z wozu i wszedł w małe środkowe wrota, a pozostali czekali, aż im od wewnątrz otworzy. To czekanie wydało im się najokropniejsze z całej tej drogi, gdyż burza tu najstraszniejsza, jakiej nigdzie indziej nie masz na całym Velebicie, chyba tylko prócz Kraljicy. Wszyscy drżeli, a na koniach włosy stawały.

— Bardzo ci zimno?

— Dla Boga, bardzo.

— No, teraz się zagrzejemy.

— Tymczasem Iwe otworzył wrota i wprowadził swoje konie pod dach, a Luka za nim. Mogli wszyscy gładko powciągać wozy, gdyż niewielu woźniców zastali, a i ci wciągnęli swe wozy do innego przedziału ogromnej państwowej suszarni.

— Hej, Iwe! — wołał nasz woźnica Iwe i walił pięściami w drzwi mieszkania gospodarza.

— Za chwilę gospodarz pojawił się ze świecą w ręce. Ledwie patrzył.

— O, imienniku! Toś to ty?!

— A ja, imienniku. Ledwieśmy żywi uciekli.

— Wielka tam burza w górze?

— Jak sto diabłów! Nigdy takiej nie było.

— Dobrze, że wam nie powywracała wozów.

— Nasze szczęście. A mogła... Potrafiłaby.

— Ale chodźcie do kuchni, zagrzejcie się.

— Zaraz, tylko oporządzić konie.

Ton miasta

Ulicami miasta sunie gwar —

Tłoczą się słowa — szyk myśli łamie się w miliony drobnych dróg — nóg masa spieszy tu czy tam —

i gwar i ruch — i ruch i krzyk — i tu i tam — — samochód — wóz — — —

UWAGA! — do góry głowa! — sunie tramwaj!!! — skrzyp, gwizd i dźwięk to słowa — to klakson — to dzwonek — — —

Ulicą miasta idzie — on. Wygląda jak pokrzywy ton pomiędzy kwieciami róż. Zdobywa drogi — szlak swej nędzy, by gdzieś pod mostem, w jakiejś dziurze do rana prześnić — tylko sen...

by rano znów ulicą miasta iść — głodny — — —

Raz mu, przechodząc, włożyłem do kieszeni dwa złote. Z ócz mu na chwilę uleciał głaz — a potem... szyderczo się roześmiał.

Tadeusz Jęczalik

— Nie nic. Nie bójcie się o mnie.

— Tymczasem powstał już i przysuwał się do wozu. Chwycił się go silnie.

— No, o mało nie poгнаłem się z moją głową. Mocną mam!

— Ano, wyrwało worek i poniosło go jak piórko.

— A worek był uwiązany?

— Tak, ale pewnie się postronek obłuźnił.

— Dalej, poprzyciągajmy wszyscy.

— Każdy obchodził wóz, trzymając się go mocno i przyciągał powrozy, a potem znowu wszyscy powiadali i ruszyli dalej. Luka objął Marysię, zamotał ją w swoją gunię i przytulił mocno do siebie. Było im tak obojgu ciepło, ale równocześnie czuli jeszcze i coś innego, coś słodsze i przyjemniejszego, o czym milczeli. Marysia nie umiała określić tego czegoś. Luka jasno pojmował i wiedział, dlaczego mu tak przyjemnie, lecz milczał, milczał i nie mógł ścisnąć ją, jak gdyby ciągle coraz bardziej ją okrywał, a ona poddawała się i jakby ukradkiem dziwiła się i cieszyła, jak jej to przy nim jakoś miło i przyjemnie.

— Do krośset diabłów! — doleciał głos Iwa.

— Jechali wzdłuż długiego, grubego i wysokiego muru, który chroni drogę, żeby burza nie wywracała wozów.

— Posuwali się wolno, a każdy szeptał westchnienia do świętego Mikołaja patrona podróżujących, aby ich ochronił od złego.

— W Kraljicy znaleźli się w najniebezpieczniejszym miejscu, a burza szalała wśród gęstej ciemności.

— Nie zauważyli nawet białego domku, zbudowanego od fundamentów do szczytu z twardego kamienia, gdy go mijali. Nie było go zupełnie widać. Tylko z nawyku dobrzy znajomi poczuli, że go mijają. I im dalej jechali, tym lżej było każdemu i swobodniej w piersiach.

— Ile razy uderzała silniejsza fala burzy, tyle razy Marysia mocniej się przytulała do Lukę.

— Nie bój się — dodawał jej odwagi.

— Ialpa i łupnął pięścią w stół. Szło tak kilka razy rzędem, a kiedy już wszyscy mieli tego dosyć, zdecydowali, że pójda dać koniom jeść i położyć się spać. Każdy z nich podścielił sobie coś obok swego wozu i legł, a Luka umieścił Marysię w owej pustej karecie. Widać było, że była rozgrzana picciem. Ocy jej gorzały jakimś niepojętym ogniem, a w policzkach igrała krew. Przeciągała się co chwilę i ogładała się, jakby czegoś szukała.

— Co ci jest? — spytał Luka.

— Nic.

— Zmeczonaś?

— Tak! — odrzekła i położyła się w karecie. Luka ujął ją nieco. Ponieważ dobrze był przeziębiony, więc ciągle mu było za mało ciepła.

— Pierwsze kieliszki wypił, aby się rozgrzać, drugie, aby mu jadło szło lepiej, a trzecimi musiał już polewać.

— Gdy Marysia już legła, wziął coś i zaczął ścielić sobie obok wozu, aby się położyć.

— Co tu robisz, Luka?

— Idę się położyć.

— Będzie ci twardo.

— Przyzwyczajony jestem do tego.

— Mnie tu bardzo dobrze.

— A widzisz! — odrzekł jak gdyby sobie coś przypominając. — Mogłbym i ja tam...

— Byłoby ciasno.

— Jeśli nam nie było przedtem ciasno na wozie, to i teraz nie będzie.

— Ale ten wóz mniejszy.

— Nie bój się. Będzie nam cieplej — odrzekł i wszedł na wóz. Inni woźnicy spali już jak zarżnięci.

— Nazajutrz pierwszy wstał Iwe. Już przedtem budził się kilka razy, ilekroć konie mocniej tupwały; wołał wtedy na nie i dalej chrapał.

— Gdy zauważył, że światło dnia silniejsze jest już od świateł, co przez noc paliła się w suszarni, wyciągnął się na swym legowisku, usiadł, przeciągnął się jeszcze raz, ziewnął i przeżegnał się. Jakiś czas siedział tak podparty jedną ręką i ogładał się.

— Na, mały, malutki! — krzyknął raczej z przyzwyczajenia niż z potrzeby i znowu zamilkł. Luka zerwał się i podniósł głowę, żeby zobaczyć, jaka pora. Prawą ręką podrapał się za uchem, a lewą powoli wysunął spod głowy Marysi, wstał i przeżegnał się. Gdy zobaczył, że nikt jeszcze nie wstał, nachylił się i pocałował Marysię. Ona zerwała się ze snu i spojrzała na niego szerokim spojrzeniem.

— Nie bój się, nie bój. To ja — rzekł Luka i uśmiechnął się do niej.

— E, idź! Jakiś ty!

— Patrzcie, patrzcie, gniewa się — rzekł cicho, jakby żartem i poglaskał ją po twarzy. Zamilkła i wpatrzyła się w siano.

— Nie gniewaj się, Maryś. Ożenię się z tobą. Kocham cię — szeptał.

— Ona milczała. Nie odpowiedziała ani słowa, lecz odwróciła się zupełnie od niego i nad czymś myślała.

— Jeszcze nigdy w życiu nie było jej tak na duszy, tak ciężko i smutno jak tego rana.

III.

— Przy pożegnaniu stali nimo jedno obok drugiego. Z innymi woźnicami pożegnała się jeszcze w izbie, a on odprowadził ją przed suszarnię.

— Nie gniewaj się, Maryś, i nie bierz mi za złe.

— Co bym się miała gniewać?

— No, tak... A tamten... Gdy będę wracał z Zadaru, czekaj na mnie tam, gdzieśmy się wczoraj spotkali. Wróć za pięć dni.

— Po co cię mam czekać?

— Żebyśmy się zmówili. Zostanę w tyle za innymi woźnicami. Nie potrzebują cię nawet widzieć.

— Z Bogiem!

— Jedź z Bogiem. Pozdrów tatę.

— Niech ci Bóg da zdrowie — rzekła i odeszła szybko, a Luka wrócił do swych towarzyszy. Był cichy i zamyślony. Sam nawet nie wiedział, jak się to wszystko stało. I ma się z nią ożenić... Jak gdyby był Turkiem...

— Takie myśli męczyły go i piekły, więc zaczął wychylać kieliszki jak zwariowany... Ożeni się z nią... A żona jego?

— Oddaliwszy się kilkanaście kroków od „kasarni“, poprowadziła Marysia konia do wielkiego kamienia, wspięła się nań i dosiadła konia, a potem zaczęła go sieć biczem jak oszalała.

— Tak, — nie może inaczej, musi go bić, aby tylko szedł jak najprędzej, jak najszalenie, jak najbardziej zwariowany. Czula, że tak być musi, choćby nawet miał zdechnąć z wysiłku. Zresztą go lubi, dogadza mu jak małemu dziecku, ścisła go i całuje, dając mu chleba lub ziemniaków. Teraz musi lecieć jak wiatr, aby tylko jak najprędzej uciec na drugą stronę Velebitu.

— Gdy spotykała kogoś po drodze, rumieniała się cała, myśląc, że każdy czyta z jej twarzy jakąś dziwną zmianę i że ją pyta, gdzie była i co robiła. A ona wołałaby umrzeć raczej, niż odpowiedzieć na to pytanie.

— Gdy ruszyła z miejsca, wydało się jej, że burza nie jest już taka silna. Lecz im dalej jechała, tym było gorzej. Obok niej leciały kamienie jak piasek i zaczęła już żałować, że się puściła w drogę, że nie zaczęła jeszcze, dopóki burza całkiem nie ustanie.

— Coś jej mówiło, żeby wracać, żeby nie jechać dalej. I stanęła, chciała już nawrócić z powrotem, lecz wspomniła sobie coś, uderzyła konia i znowu pojechała szybko naprzód. Musi, musi pędzić dalej w górę, choćby ją to

głowę miało kosztować — myślała sobie i otulała się.

Gdy się zbliżyła do Kraljicy, koń nie mógł już biec. Burza biła wien z taką siłą, że z trudem mógł się posuwać naprzód, rzucając głową na wszystkie strony.

Marysia oczekiwała każdej chwili, że burza może ją rzucić z konia, więc zsiadła z niego, uchwyciła się go mocno za grzywę i powiodła go tuż popod mur ochronny. Szli ciasno jedno przy drugim jak dwaj dobrzy, starzy przyjaciele.

Mieszali się w niej uczucia strachu przed burzą, przed tym nieubłagany potworem, z troską o konia i z jakimiś jeszcze wcześniejszymi uczuciami, które trzymały ją w pijanym zamgleniu, a były tak strasznie nowe i ciężkie...

Drżała i nogi pod nią się trzęsły, lecz nie tyle od burzy i zimna, ile od jakiejś wewnętrznej słabości. Jak gdyby była poprzębiana, lub jak gdyby wszystkie jej wnętrzości zerwały ze swojego miejsca.

Co chwilę musiała przystawać, aby odetchnąć i zebrać siły do nowej walki.

— O mój Boże, zlituj się nade mną! — szepotała, czując coraz to większe zmęczenie. — Najświętsza Mario Panno, pokrzep mię i dodaj mi siły...

I koń też już ledwo szedł.

Dopóki się wlekli wzdłuż muru, jeszcze się dało wytrzymać. Mogli jeszcze, przyciśnięci jedno do drugiego, opierać się burzy, bo jakkolwiek nimi miotła, to jednak nie mogła ich obalić. Biła nimi tylko o mur.

Po każdym silniejszym uderzeniu koń mocniej prychnął i zwracał głowę ku Marysi, a ona głęboko oddychała i wzywała Boga na pomoc. Bolał ją już cały prawy bok od tego, że burza ciskała ją o mur. Ledwo się ruszała i poczęła już myśleć o tym, że nigdy już więcej żywa nie dostanie się na drugą stronę Velebitu. — Gdzie on teraz? — pomyślała, a przy tym zrobiło się jej coś zimno koło serca, więc stanęła na miejscu jak wryta. Poczuła, jak członki zaczynają jej sztywnieć, więc aby nie zamarznąć targnęła się i poszła znowu.

Gdy minęli mur, porwała ich burza i zmiotła z drogi. Uderzenie nie było jeszcze zbyt gwałtowne, a oni oboje stosunkowo jeszcze dobrze się trzymali na nogach, więc ich nie przewróciło. Z ciężkim trudem dokopali się z powrotem do drogi. Koń wyszedł pierwszy, a potem mądrze i rozsądnie nachylił łeb ku Marysi, która bez przerwy trzymała się go mocno za grzywę — i czekał, póki i ona się nie wygrzebie.

Nie uszli ni dziesięć kroków, a powtórzyło się to samo. Marysia upadła na kamień i poczuła w prawym goleniu palący ból, więc krzyknęła głośno, lecz nie puszczała z rąk końskiej grzywki. Koń patrzył na nią jakoś smutno i mgliście.

— Złoto moje! Nie bój ty się o mnie — pochiebiała mu, a potem głośno zawołała:

— O Boże wszechmogący, zmiłuj się nad nami!...

IV.

Po drugiej stronie Velebitu pogoda była nieco lepsza.

Cały dzień posypywał rzadki, suchy śnieg, a burza zmiatała go i znosiła na zaspy. Całe gałęzie padały z drzew, a gościńce i drogi oczyszczały się z liści i piasku. Miejscami zamiecione było do czysta jak na dłoni, a po drugiej stronie tworzyły się znów nowe zwały.

— O, ja nieszczęsna! Nie wróci mi dziecko żywe — lamentowała Kata. — Pociąg ją puszczał, o matko moja...

— Cicho bądź, stara! — gniewał się Jerko. — Miałem może puścić człowieka, żeby zginął i on sam i jego konie?

— Tak, a dziecko mi mogłeś puścić?!

— Nie bój się, biedna. Nic jej nie będzie, jak Bóg da — odpowiadał Jerko i nieustannie poglądał w tę stronę, skąd Marysia powinna nadejść.

— Nie ma jej! — mówiła Kata około pory śniadania.

— Łada chwila teraz wróci — odparł Jerko i zapatrzył się w stronę Velebitu.

Burza ciągle jednako wyla, łamała, zmiatała i porwała.

— Niech diabli wezmą cały przyprząg i tego,

kto go pierwszy wymyslił i żeby mu się kościółek na ognisku wywrócił na Boże Narodzenie... — mruczała Kata do siebie i nie mogła się uspokoić. — Żeby mu ziemia kości jego wyrzuciła! O, ja nieszczęsna! Dziecko mi nie wróci. O, ja biedna! O, ja nieszczęsna!

— Cicho bądź, stara! Bodajbyś oniemiała! — krzyknął na nią Jerko. — Nie lamentuj, bodaj ci w gębę wyszło! Jakże dziecko ma prędko wrócić na taką pogodę?! Łada chwila będzie tutaj.

— No, no, łada chwila... Tobie się łatwo mówi, a mnie, matce, serce się kraje.

Jerkowi też było już coraz ciężiej i ciężiej na duszy. Zaczął go gnębić jakiś strach i lęk. I jego też zaczęły opanowywać jakieś ciężkie przecucia.

Gdy już było około południa, a jej ciągle jeszcze nie było widać, zaczął Jerko przemysłować, jakby tu Katę jak najdłużej uspokajać i pocieszać. Już i jemu za długo było czekać.

— Nie ma jej i nie ma — mówiła Kata wychodząc co chwilę do drzwi i wyglądając, czy może nie idzie.

— A może jeszcze jest pod Progiem?

— Jużci...

— E, co ty wiesz, jak się podróżuje!

— Ja wiem, że ona tam nie została.

— Na pewno nie dali jej ludzkie wracać w taki psí czas, póki się nie odmieni.

— A, jej, jej! Poszła ona, poszła, o Boże jedyny! — zalametowała Kata.

— Nie bluźnij, stara. Jeśli nawet poszła, to pewnie późno wyszła, więc pewnie będzie nocowała na Halanie u poczciwego gajowego jak u siebie w domu. Pewnikiem będzie nocowała, skoro jej jeszcze nie ma.

— O, Matko, Królowo miłosierdzia! Zmiłuj się ty, zmiłuj nad nią, bądź jej ku pomocy w każdej potrzebie i wybaw ją od nagłej i niespodziewanej śmierci...

Oboje milczeli i w grobowym milczeniu przechodzili jedno obok drugiego.

— Nie ma jej jeszcze? — pyta Kata.

— Jużci! Mówię ci przecież, że będzie nocować u gajowego, skoro jej dotąd nie ma.

Burza tymczasem nie popuszczała. I śnieg

padar silniej. Słońce zbliżało się już ku zachodowi. Kury szukały już swych gniazd, gdzie oporządzali bydło na noc, która się szyła zbliżała, a jej ciągle jeszcze nie było.

— Nie ma, Kato, jeszcze Marysi? — zapytała ją ciotka Ika pod sam wieczór.

— Nie ma, moja ciotko, o ja biedna i nieszczęśliwa. Bóg wie, gdzie siedzi tak długo.

Ciotka Ika pokiwała głową, a Kacie stało ży w oczach.

— Czy ja wiem? — rzecze Ika. — Mój jeszcze nie wyszła z powrotem?

— Nie, moja ciotko! Nie wierzę, żeby ostr już nie wyszła w powrotną drogę.

— E, co ty wiesz, moja kochana. Diabeł to sprawa iść w taki czas z Progu, naw i o innej porze roku — rzekła ciotka i odeszła.

Kata nie odpowiedziała nic. Lzy jej tyłd spływały po policzkach.

— Nie ma, Kato, jeszcze twojej Marysi? — pyta stryjna Róża.

— Nie ma, moja stryjno. Jak żyję, tak wiem, co począć.

— O, święty Mikołaju podróżniku, bądź ku pomocy — westchnęła Róża, podparła głowę ręką i zakolysała się całym ciałem.

Kata zapłakała głośno.

— Nie bluźnij, Kato! Nie bądź dzieckiem! rzecze Jerko, siląc się niby na surowo.

A i jemu było już w piersiach bardzo ciężko.

— Da Bóg, że nic się jej nie stanie.

— Mój Jerko, przecież na południe powinna być już tu — rzecze Róża.

— Acha! Akurat ty się na tym rozumiesz! obruszył się Jerko na nią.

— Niby prawda... ale przecież... — mrucnęła Róża i odeszła.

Tak po kolej cały wieczór przychodziły biety ze wsi i pytały.

Kata postawiła wieczernę na niskim oknie, głym stoliku i przywołała Jerka.

Gdy mieli się do jedzenia, każde z nich pomodliło się długo po cichu — a kiedyś indziej, od niepamiętnych czasów, odmawiało u nich modlitwę na głos. Siedli potem w milczeniu i w milczeniu jedli.

Ciąg dalszy nastąpi

Ilustrowany Kurier Polski — Kraków, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

Psy różnych ras
stałe sprzedaje i kupuje hodowla
Kraków, Wadowicka 39.
[Przedłużenie Kalwaryjskiej]

Futra
Lisy
Płaszczki
i td.

GRODZKA 59
Komis Kraków

ciężko się
zanosiem

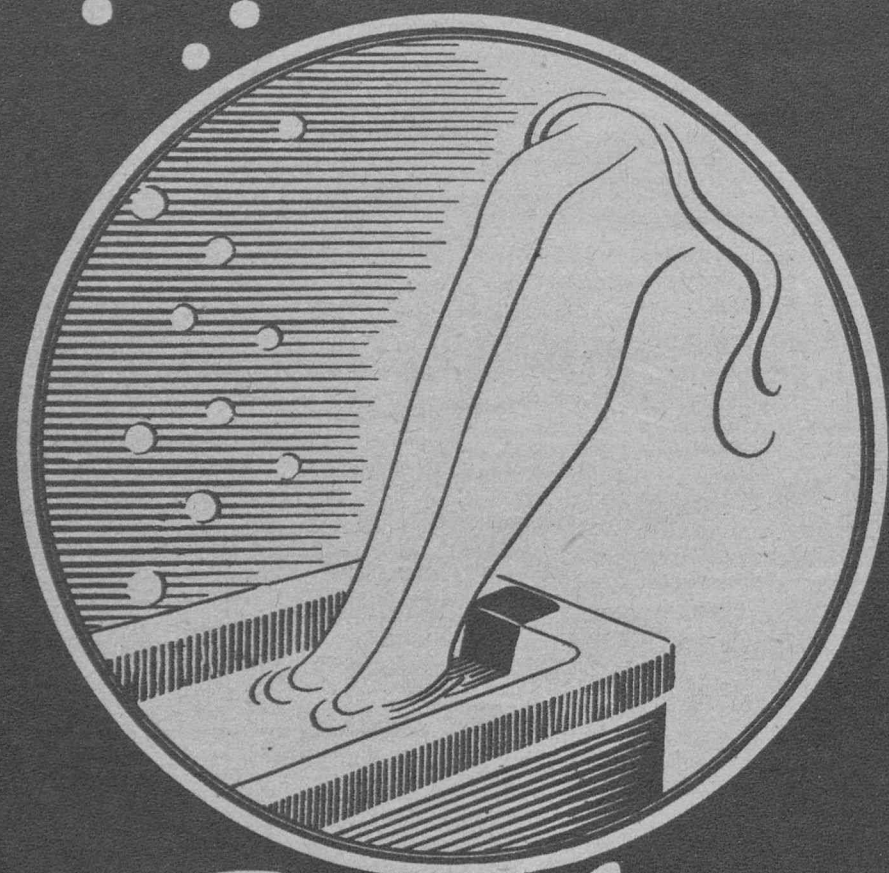
Dr. med. Leopold
GUTOWSKI
Skórne i weneryczne
Warszawa, Żurawia 35
godz. 2—5, w Łodzi
Trybicka 2, g. 12—2

Dr. W. BILIŃSKI
akuszer-ginekolog
ordynuje
L. W. O. W.
ul. L. Sapiehy 85

MAGAZYN JUBILERSKI
Kraków, Grodzka 60 poleca:
zegarki, nakrycia srebrne,
papierośnice, itp.

FILATELISTY! Nasz gratulacyjny
cennik słynący z rewelacji se-
zonu! Kto jeszcze nie zamówił
proszony jest o podanie adresu
do firmy: Dom Handlowy „Pio-
nier”, Kraków, Stolarska 9, I p.

PEDICURE

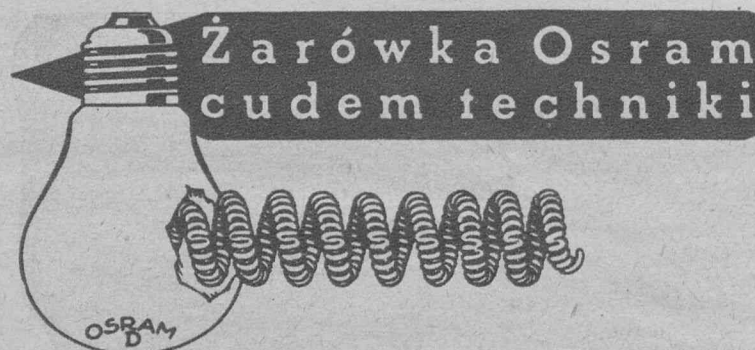


Nota

Dra Wandera NOVASCABIN

Numer rejestracyjny 2026

bezbarwny i aromatyczny płyn do skróconego
i wygodnego leczenia świerzbu



Rozstrzygającym dla ekonomicznej
żarówki jest jaknajlepsze wykorzy-
stanie prądu. Jest ono wyjątkowo
korzystne w żarówce Osram-D o po-
dwójnie skręconym drucie świetlnym.
W niej jaknajlepiej wykorzystuje się
prąd celem wytwarzania światła.

Zatem —
wysoka wydajność świetlna —
małe zużycie prądu.

ŻARÓWKI OSRAM-D
dużo światła — mało prądu

722

NOVASCABIN działa już po jednorazowym użyciu, nie
płami i nie niszczy bielizny nie powoduje przerw w pracy

Do nabycia we wszystkich aptekach

Fabryka Chemiczno-Farmaceutyczna

Dr. A. Wander, S. A. Kraków

Krystyna prostuje zmęczone członki i z rozkoszą wdycha ostre i świeże powietrze. Jest już ciemno, parę gwiazd błyszczy na wąskim pasku ciemno-szafirowego nieba, wiszącego nad ulicą. Cienka warstwa śniegu pokrywa chodniki, osiada lśniącym szronem na gałązkach.

Godzina siódma.
— Siódma? — dziwi się Krystyna — Ach, tak, dziś przecież później. Przecież przenośnik...

O przenosinach w biurze przypomina jej ostry ból w zmęczonych ramionach i plecach. Cały dzień składała i pakowała akta, teki i listów, stopy korespondencji.

Na jakiejś wieży bije siódma. Czysty mechaniczny dźwięk drży w mroźnym, srebrnym i księżycu powietrzu. Nagle w bajkowy natrój wdziera się brutalnym rytmem odgłosy ich przyspieszonych kroków.

Jakieś znane kroki! Krystyna wie, wie doskonale, kto biegnie za nią, ale z uporu, przekory idzie coraz szybciej.

Idzie coraz prędzej i prędzej, aż mocna ręką zatrzymała ją znanym chwytem i rozejmiany głos zawołał:

— Krysta, ty myślisz, że uciekniesz? Że potrafisz w ogóle kiedyś uciec?

Krystyna nie myśli uciekać. Nie chce. Jest właśnie najlepiej w tej chwili, gdyż w silnych ramionach Ryska czuje się absolutnie bezpieczna i najzupełniej bezpieczna.

— A to urwis — dźwięczy ponad nią głos Ryska, bo Rysiek jest wysoki i Krysta sięga głową do ramienia. — Uciekinier! Przyłóż pod biurko, nie ma. Patrzę — świeże kłady na śniegu nr 35, a na zakęcie pędzi os małego. Zmyka! Ale na szczęście przewijająca Bozia dała mi nieco dłuższe nogi... czego się śmiesz, szybkobiegaczko?

— Z ciebie, jak zawsze — frędzle szala przystają ci z nad kółkami, jak bokobrody, abno kapelusza znowu...

— To popraw — mówi surowo Ryszard. Krystyna podnosi obie ręce do góry i staje na palcach, ale nim dosięga kapelusza, Rysiek pochyla się i całuje roześmiane usta Krysty.

— To na kapelusz nic nie pomaga! — broi się Krysta.

— Nie pomaga? — dziwi się Ryszard i całuje znowu. Rysiek całuje „jakby się wychował w lesie” według określenia Krysty. Właśnie ta prostota, szczerość i siła podoba jej u niego najbardziej.

Jakaś pani przechodzi ulicą, zauważa ich mowy:

— Ach!
— Zazdrość — konstatuje w duchu Krysta.
— Zazdrość — śmieje się Ryszard.

Krystyna nie pamięta już o tak ciężko przepracowanym dniu, nie czuje zmęczenia. Idą chwilę, na małą chwilę, która otwiera do dziewiętej posłuchać muzyki i wyć „półczarną” w zaciśniętej, małej kawiarni, gdzie niewidomy staruszek zamiast szlagie-

NAWET ŚMIERĆ

ALINA NOWAKOWNA

rów i przebojów grywa na fortepianie — Chopina.

Wyszukują więc stolik w kącie i siadają naprzeciw siebie. Krysta patrzy w twarz Ryska i po raz pierwszy stwierdza, że Rysiek jest nadzwyczajny i jedyny.

Wysubtelniona muzyka wykwiła ciepłą, orkideą dźwięków o zmiennych, wibrujących tonach i rozsuwa ściany banalnego lokalu kawiarnianego. Stwarza świat inny, tak daleki od codzienności, niewiedzialny, a jakże często od realnego, brutalnego życia stokroć ważniejszy i prawdziwszy.

Krysta zapala papierosa i poprzez chmurę błękitnego dymu, poprzez rozdrganą atmosferę chopinowskiego preludium widzi już tylko wąskie i długie oczy Ryszarda, mocną linię czarnych, wiecznie ruchomych brwi i charakterystyczny zarys sklepionego czoła.

Między rzesami pełza gorący, migotliwy płomień. Krysta zna te chwile. Wie, że zaraz Ryszard zacznie mówić. I, że będzie mówił długo, długo, potem urwie, wpatrzy się w dym papierosa i nagle powie szarym, zmęczonym głosem:

— Krysta, małeńka moja, po co ja ci tym zawracam głowę? ... Trzeba iść do domu.

A ona będzie całe, całe życie pamiętać to, co mówi w takich chwilach. Rytmiczny głos Ryszarda harmonizuje dziwnie z dźwiękami muzyki Chopina.

— Widzisz, powiedziałem, że mi nie uciekniesz. Że będziesz zawsze i tylko moja. Nawet gdybyś odeszła, nawet, gdybyś została żoną innego. Nawet, gdybyś — umarła.

Oczy Ryszarda są w tej chwili ogromne i czarne.

— ...nawet, gdybym ja umarł. Umrzeć może we mnie wszystko, prócz tego, co jest twoje. Nie chodzi o efekt. Rozumiesz mnie? Może to jest właśnie ta dusza nieśmiertelna? Może to jedynie jest to coś, co w nas nie umiera? ...

Oczy Ryska z czarnych stają się tężowe, mienią się kolorami i lśnią dziwnym światłem. Są w tej chwili jasne, fosforyzujące.

— Jest coś w człowieku, co nie ginie. Jest potęgą, której nic nie złamie. Nawet śmierć. I ja do ciebie wrócę na pewno. Poznasz mnie? Poznasz?

— Poznam, poznam cię po oczach, po głosie, poznam cię na pewno. — Szepcze Krysta jak zahipnotyzowana, słowa dziwnej przysięgi.

Słowa Ryszarda będą jej dźwięczeć w uszach jeszcze długo, długo.

Wesoła, beztroska pogawędka w drodze

powrotnej nie zatrze ich echa, jakim odbiły się we wrażliwej duszy Krysty.

— Jest potęgą, której nic nie złamie. Nawet śmierć. I ja do ciebie wrócę na pewno.

Krystyna wierzy. Wierzy nie tylko słowom Ryszarda. Krystyna wierzy w Ryska. W niego samego. W jego moc uczynienia wszystkiego, w jego tajemną władzę nad wszystkim. Ale nie wie nic o tym, że to ona właśnie ze swą fanatyczną, ślepą wiarą w jego potęgę, jest tej potęgi podstawą.

Tego wieczora Krysta żegna Ryszarda z dziwnym poczuciem, że jest między nimi coś nowego, jakaś niewypowiedziana umowa, czy tajemnica.

— Nawet, gdybyś umarła... nawet gdybym ja umarł...

Sięgnąć wolą i uczuciem poza granice życia — to stać się nieśmiertelnym, pokonać śmierć. Dla nich nie istnieje już rozróżnienie życia i śmierci — należą do siebie nawet po śmierci.

— To jest dusza, to jest właśnie ta dusza nieśmiertelna. Wysztygana, lub podawana w wątpliwą dusza! — ośniewa Krystę nagle objawienie. I wie już za co kocha tak bardzo Ryska. Za jego duszę. Czystą, głęboką i pełną wewnętrzną potęgą.

I zasypiając, czuje jeszcze dziwną, porywającą atmosferę zawrotnej wyżyny, szczytu. Czuje, że w jej szare, zapracowane życie korespondentki firmy budowlanej wpłata się złociste pasmo ośniewającego, niebezpiecznego wprost szczęścia. Szczęścia wysokiego i niezmiennego, jak chopinowskie preludium...

Z dali zza błękitnego dymu czy mgły patrzą na nią z natężoną uwagą jedyne, najdroższe oczy Ryska...

Krystyna siedzi bezradna i zdenerwowana. Tyle pilnych spraw wali się jej na głowę, a nic nie można załatwić. W nowym lokalu biurowym bałagan i nieporządek. Zamówienie firmy Bączek i Chwałt powinno być w teczkach z zamówieniami, a nie można go znaleźć. Może jest w korespondencji? Tak, ale cała korespondencja jest zamknięta w małym pokoju, klucz ma szef i nie wiadomo kiedy wróci. Można by zatelefonować do firmy Bączek i Chwałt, dowiedzieć się ile ton wapna potrzebują, ale telefon jeszcze nie założony.

Poza tym Krystyna wie, że Rysiek nie będzie mógł, jak codziennie, zadzwonić do niej o dwunastej. Spłątany drut telefonu smętnie zwisa do ziemi i gadatliwe czarne stworzenie milczy.

Może to śmieszne, ale Krysta bardzo lubi swój telefon.

Gdy podnosi słuchawkę i przyłoży ją do ucha, głowę napienia łagodny pulsujący szum odległego rytmu życia. Czasem zmieszany, niewyraźny dźwięk, niby duch czy cień rozmowy...

— Wiesz, Rysiu, mój telefon jest żywy! — powiedziała mu kiedyś, dawno.

— Mój też, ale to dlatego, że my jesteśmy tacy — uśmiechnął się Ryszard. — Dla innych telefon, to przyrząd do zamawiania papy, czy innego paskudztwa.

Jej telefon jest żywy. Zawsze był taki. A teraz, aż przykro słuchać. Głucha, martwa cisza. Wyłączony. A monter przyjdzie dopiero jutro, bo na poczęcie nawał pracy.

Krystyna porządkuje stopy papierów, układa je na nowo w szafach i planuje zmianę typu registratorów, na oszczędniejsze co do miejsca. Kartoteka towarowa zaś musi mieć inne rubryki z wyszczególnieniem salda. Tak jak jest, mijają się z celem. A w korespondencji musi wprowadzić osobną tekę na rozporządzenia władz. Inaczej nigdy nie będzie porządku. I właściwie jeszcze powinno się...

Dzwonek.

Krysta podnosi głowę zdumiona.

Przecież telefon jest wyłączony!...

Dzwonek.

Krysta podnosi słuchawkę, patrząc równocześnie szeroko otwartymi, trzeźwymi oczyma na ucięty drut.

Słyszysz jakiś hałas i zgłęb, nagle wszystko cichnie i głos Ryska dźwięczy, choć cichy mówi z oddali:

— Krysta, Krystynka... Małeńka moja... Nie zapomnisz mnie nigdy... Wróciłem... i nie rozłączy nas nic, nawet śmierć...

Słowa przechodzą w szepit i giną w odległych dźwiękach chopinowskiego preludium. Wreszcie zapada cisza.

Krystyna patrzy oniemiała na wyłączony telefon, potem na zegarek. Jest godzina 12,3. Zawsze o tej porze Rysiek dzwonił.

Podnosi powtórnie słuchawkę — cisza.

Naturalnie, wyłączony.

Krysta wie, że stało się coś strasznego. O najstraszniejszym myśleć nie chce, nie może...

Rysiek, Rysiek... Rysiek...!

*

Ostry ołówek reportera miejscowej gazety biegnie po białej kartce małego notesu.

„Ryszard Załęcki, urzędnik prywatny, wpadł przez nieuwagę pod ciężarowy samochód, wiozący węgiel i w parę minut po wypadku — zmarł. Wezwany lekarz pogotowia stwierdził pęknięcie czaszki. Tragiczny wypadek miał miejsce punktualnie o godz. 12.

*

Jest coś w człowieku, co nie ginie. Jest potęgą, której nic nie złamie. Nawet śmierć.

„Biuro matrymonialne”

Panna Franciszka liczyła sobie tylko pełne trzydzieści pięć lat. Była urzędniczką w pewnej firmie handlowej, pobierała za swą pracę kromną pensję, z której musiała opłacać czynsz za jedno pokojowe mieszkanko.

Nadto panna Franciszka posiadała figurkę ośc pokaźnej tuszy, buzię i nóżki niczego obie, poza tym...

Poza tym panna Franciszka postanowiła wyjść za mąż i to nieodwołalnie. A co „młoda panna”, postanowiła, to żeby cały świat miał jej zważyć, musiała urzędniczo. Trzydzieści pięć lat panienstwa to nie żadne żarty, panna Franciszka rozumiała, że musi i to koniecznie musi... poszukać dla siebie męża. Ale ja tego? Szatyn w pierwszym rzędzie, bo trzeba wiedzieć, że panna Franciszka była również zatynką — po drugie musi być przystojny, i biedny a przede wszystkim młody i na rzadowej posadzie.

Panna Franciszka przemyslała wszystko do przodu i doszła do, zresztą zupełnie łusznego, wniosku, że tylko taki może jej zabezpieczyć byt na przyszłość, a to było przecież, rzecz najwazniejszą. Taką już zresztą panna Franciszka była.

„Mąż!” Słowo to mile lechtało organy słuchowe trzydziesto letniej panny. Miec męża, własnego męża! Na samą tę myśl panna Franciszka dostawała z emocji gdzieś w okolicy rzyza przyjemnych dreszczyków.

A więc jednym słowem, postanowiła panna Franciszka mieć takiego „własnego męża”... i kwita. Postanowiła, tylko...

Tylko los jakoś nie poszczęścił jej w odnieniu sukcesów na tym polu. Po co tu zresztą już gadać; trzydzieści pięć lat spoczywających w równiutkich pokładach na korpulentnej osobie panny Franciszki, mówiło chyba samo za siebie i za wszystko.

Pomyślała by kto może, że niepowodzeniem w tym, panna Franciszka się zraziła. O nie, moi rodzic! Ona była nie taka. Postanowienie jej było nieodwołalne, twarde jak sama stal. Nie mogąc więc znaleźć dla siebie odpowiedniej artii w kole nielicznych zresztą znajomych, decydowała udać się ze swą sprawą sercową gdzie indziej, tylko do samego biura matrymonialnego. Z tego powodu dwie ostatnie

noce spędziła, nie zmużywszy nawet oka, przejęta do głębi wizją niedalekiego szczęścia. Miała przecież mieć męża — własnego męża. Jak cudownie brzmiały te słowa!

Całe dwie godziny straciła nad gazetami szukając w rubryce ogłoszeń adresu, potrzebnego biura. Gdy go wreszcie znalazła, odetchnęła z prawdziwą ulgą. Czytanie gazet a zwłaszcza ogłoszeń należało do jej słabych stron, musiała bowiem z powodu słabego wzroku zakładać okulary, a w tych było jej nie do twarzy. Natomiast zapamiętanie adresu biura nie sprawiło jej żadnej przykrości.

W niecałe trzydzieści minut znalazła się pod właściwym numerem domu i zapukała. Na słowo „proszę” przybrała na usta jeden z najniewinniejszych a zarazem najczarowniejszych uśmiechów, naciśnięła klamkę i ostentacyjnie weszła. Od biurka zarzuconego stosem papierów podniósł się starszy jegomość i zapytaniem, czego sobie „szanowna pani” życzy —

Panna Franciszka zaskoczona i zafasrowana trochę wyglądem „biura”, które w rzeczy samej nieco odmiennie sobie przedstawiała, poczęła nieśmiało bąkać:

— Ja proszę pana... przyszedłem tu... w sprawie... no, że tak powiem... no, hm... czysto osobistej... Pan rozumie... mnie chodzi... ja bym chciała... pragnęła... zobaczyć... przegladając... fotografie... raczej może cały album...

— Ależ proszę, proszę bardzo — pospieszył uprzejmie domyślny urzędnik — pani pozwoli, tu oto krzeselko. Szanowna pani albumik sobie życzy? Służę z całą przyjemnością.

Panna Franciszka odetchnęła całą piersią. Pierwsze lody były złamane. Ulokowała swoją pawłokę ziemską na krzesle i czekała. Dalej wszystko już samo powinno się ułożyć.

Tymczasem jegomość o głowie ze sporym zadatkiem na łysinę, zawinął się jak fryga koło dużej szafy i już po chwili przed „szanowną panią” znalazł się na biurku potężnych rozmiarów „albumik”.

— Zapewne szanowna pani pragnie odszukać jakąś znajomą twarzyczkę? Mogę z góry zapewnić, że jeżeli „robotą poważną” znajdzie pani...

— Co to znaczy „robotą poważną”? — obruszyła się panna Franciszka.

— Co urażam panią? — zdziwił się urzędnik — w takim razie bardzo, a bardzo szanowną przepraszam. My „fachowcy” często posługujemy się podobnymi wyrażeniami, co dla niektórych ludzi może wydaje się dziwne. Tak droga pani... a zatem...

— A zatem pozwól mi pan zgłębić tajemnice albumu — podchwyciła przysilnie panna Franciszka.

ciszka, obdarzając przy tym swego rozmówcę jednym ze swych uśmiechów.

— Morowy chłop, — przyznała w duszy.

„Morowy chłop” otworzył więc album i ukazał klientce całą serię męskich podobizn, na widok których panna Franciszka uczuła w okolicy żołądka albo i w samym żołądku coś bardzo nieprzyjemnego poprzedzającego zwykle mdłości. Dzielnie jednak skurczyła się na krześle i czekała aż wszystko przemienie.

— Ależ to skandal umieszczać w albumie coś podobnego — pomyślała. — Co to za twarz, co to za spojrzenia!

— Może któraś z tych? — pytał urzędnik.

— Nie, nie! — zaprzeczyła żywo panna Franciszka.

— Czy mógłbym wiedzieć w jakim mniej więcej wieku? — zagadnął niezrażony mężczyzna.

— Hm! Chyba tak do lat czterdziestu i... szatyn.

W następnej chwili panna Franciszka odniosła wrażenie, że wznosi się w obłoki. Grobowy nastrój prysnął w jednej chwili. Przed nią znajdowała się podobizna mężczyzny, która w tak krótkim czasie potrafiła wznieść pannę Franciszkę na wyżyny. Kto nie zna panny Franciszki, sądziłby zapewne, że tu już koniec. „Znalazła „swojego frajera” i tym się zadowolili. O! nie! Ona nie taka, by pozwoliła się od razu „chwycić”.

— Stanowczo coś lepszego! — zażądała — Pan rozumie... uroda i jeszcze raz uroda! — Pannę Franciszkę coraz bardziej ponosiły fale jej pragnień. Jeżeli raz rozbudziła w sobie drżące miłosne pragnienia nie sposób już było ją ochłodzić i uspokoić byle czym. Toteż na czoło urzędniczyny pojawiły się krople potu od wysiłku jaki wkładał by zadowolić klientkę.

— Może ta?... A może ta?... Albo ta?...

— Nie! — przecinała stanowczo za każdym razem wymagająca panna Franciszka. Wreszcie...

— Bardzo ładny mężczyzna — zauważyła, siłąc się na spokojny ton, gdy tymczasem w duszy a raczej sercu odczuwała wręcz coś odmiennego.

— Czy ten? — spytał zmęczony urzędnik nie dwuznacznie zdradzający swe zniechęcenie do dalszego obsługiwanie klientki.

— Tego nie mogę jeszcze powiedzieć — odparła panna Franciszka pochłaniając spojrzeniem fotografię wyobrażającą oblicze mężczyzny o nieprzeciętnej urodzie — muszę się jeszcze zastanowić.

— Ten to będzie już mój — stwierdziła w myśli — tylko czy na rządowej posadzie.

— Pan będzie łaskaw udzielić mi bliższych danych o tym człowieku, — wskazała na fotografię.

— Proszę bardzo — wysilił się na uprzejmość, do głębi już oburzony urzędnik. — Mężczyzna, którym tak bardzo szanowna pani (szanowna pani tym razem wypowiedział z jadowitym naciskiem) zainteresować się raczyła, liczy sobie czterdzieści lat, jest wysoki, dobrze zbudowany, oczywiście szatyn, bez znaków szczególnych...

— Ależ panie! — obruszyła się panna Franciszka — mnie zupełnie o co inne chodzi...

— A o cóż, jeśli można wiedzieć, szanowna pani — spytał z nieukrywaniem już zdenerwowaniem mężczyzna.

— Jego zawód? Gdzie pracuje? Jednym słowem...

— Jednym słowem, na jakim polu pokłada swe zdolności? — odetchnął przedstawiciel „biura matrymonialnego”. — Więc mogę panią od razu zapewnić, że jest to człowiek z niebywale bogatą przeszłością... Obraca się tylko w dobrym towarzystwie...

Panna Franciszka rosła jak na drożdżach a serce jej tajało jak śnieg.

— ...człowiek, jednym słowem, jedyny w swym rodzaju. Szanowna pani rozumie. Popelniał dotąd dwadzieścia przestępstw, trzy morderstwa...

— Trzy morderstwa! — wykrzyknęła przerażona panna Franciszka, odnosząc wrażenie, że zapada się w próżnię z szybkością tysiąca km na godzinę. — Pan wybaczy, ale ja takiego człowieka nie chcę za męża...

— Co? Jak? Pani nie chce go za męża? — tym razem wykrzyknął wściekle wytrącony z równowagi urzędnik. — Pani go nie chce! A kóż go pani niby daje? Co? Tu przecież nie żadne biuro matrymonialne tylko...

— Tylko co?...

— Co! — uniósł się już na całego „pan urzędnik”, — pani śmie jeszcze we mnie wmawiać, że tu jest biuro matrymonialne? Oszalała pani chyba. Tu jest prosię pani biuro detektywistyczne..., rozumie pani, de-te-kty-wi-stycz-ne! Tak proszę pani, a nie żadne matrymonialne czy inne. Tu chyba zaszła jakaś pomyłka, albo szanowna pani nie ma dobrze w swej głowie i przyszła szukać w albumie przestępców kandydata na męża... To nie idzie...

Panna Franciszka nie wytrzymała. Uczyniła to co w danej chwili było najodpowiedniejszym dla uratowania się od doczesnej kary, po prostu... zemdlą.

Jan Chrapkiewicz

ROZMAITOŚCI

FENIKS, MITYCZNY PTAK STAROŻYTNOSCI

Nauka i wiedza wyjaśniła lub rozjaśniła bodaj niejedną pradawną legendę, wytłumaczyła i objaśniła niejedno zamierzone podanie, zbadała i wykryła źródło niejednego wiekowego mitu. Zmudnymi jakże często dociekaniem i hipotezami opartymi na prawdopodobieństwie pewnych mniej lub więcej znanych faktów, zaistniałych dawną bardzo a przekazanych nowym czasem różnymi drogami, — dochodzili i dochodzą niezmordowani badacze-uczeni do sedna tej lub owej zagadki minionych dziejów.

My pragniemy przedstawić miłym Czytelnikom „ad oculos” dotąd niewyjaśnioną wciąż jeszcze tajemnicę Feniksa, cudownego ptaka starożytności, symbolu dziś już tylko wciąż odradzającego się życia, o którym to dziwie zachowały się historyczne zapiski, nie posuwające atoli ani o milimetr naprzód pytania: „Skąd wzięła początek dziwaczna legenda, będąca pewnikiem nawet dla głów uczonych starożytnego świata?”

Jak wiadomo, Feniks jest mitycznym ptakiem egipskich czasów dawno zamierzonej przeszłości.

Przedstawiano go sobie w wielkości dużego orla, o upieku złocisto-czerwonym, niby bażant, ze wspaniałym pióropuszem na głowie, z oczami jak gwiazdy płonącymi. Podanie mieszkańców Heliopolis powiadało, że ptak ten przylatywał z Arabii raz na 500 lat!

Wielki naturalista starożytności, łatwowierny jednak i nie przesiewający przez sito zdrowej logiki różnych zasłyszanych historyjek, Pliniusz, — opowiada w drugim rozdziale dziesiątej swej książki nauk przyrodniczych osobliwą rewelację o Feniksie.

Otóż, gdy Feniks starzał się, budował swe gniazdo z gałązek wonnego drzewa, wypełniał je balsamicznymi roślinami a potem podpalał je(!), ginąc dobrowolnie w płomieniach. Z popiołów jego wylegał się maleńki robaczek, który pod ogrzewającymi promieniami słońca przekształcał się na młodego Feniksa. Gdzież tu zdrowy rozsądek i czemu mimo to hołdował też hajce Pliniusz, przyrodnik?!

Ponieważ mieszkańcy Heliopolis utrzymywali, że Feniks przylatywał z Arabii, wygląda całe podanie o cudownym ptaku na przeszczepioną i zaaklimatyzowaną na gruncie egipskim barwną baśń arabską, której nadano z biegiem czasu cechy istoty.

Egipski nalot uwydatnia się w wersji o balsamicznej czy balsamującej wyściółce gniazda ptaka-samobójcy, boć Egipt był krajem balsamowania pośmiertnego ciała.

Podług Owidiusza ptak popioło-legły żywił się jedynie i wyłącznie wonnymi korzeniami, a Claudian i Oktawiusz twierdzą znowu stanowczo, że pożywieniem Feniksa była tylko rosa! Skąd te wszystkie brednie doszły do uszów poważnych przecież ludzi i dlaczego ci notowali je dla potomności w najlepszej wierze — odgadnąć niepodobna.

Prawda, do Rzymu bajkę ową przyniósł Manillus, ale czemu odtąd rozchodziła się traktowana serio, znowu daremne byłoby badanie.

Ba! Toż nawet ileż później już, sam papież Klemens w liście pasterskim do Koryntian stawia Feniksa za przykład zmartwychwstania ciała!

A klasyczne dzieła starożytności? I one uwiść się dały ogólnemu przekonaniu o autentyczności Feniksa, opowiadając czterokrotnym pojawieniu się tajemniczego dziwo-ptaka: Najpierw pod Sesostrem, następnie pod Olmasisem, pod Ptolomeuszem III, a podług Tacyta, za czasów Tyberiusza.

Który właściwie ptak dał impuls do fantastycznych opowieści, zostało i prawdopodobnie na zawsze zagadką.

SZCZUR NA EMERYTURZE

Dr. R. Main z laboratorium fizjologicznego Kolegium Medycyny w Wirginii wpisał na listę kandydatów do emerytury... szczura. „Bonus” — takie imię nosił czworonożny wychowanek, był patriarchą szczurzej kolonii w laboratorium i w ciągu 2 lat nie tylko wiernie „służył” laboratorium poddając się najrozmaitszym doświadczeniom naukowym, lecz spłodził z górą 200 potomków, którzy padli z kolei ofiarą laboratoryjnych doświadczeń dla dobra ludzkości i postępu. Pewnego dnia sędziwy szczur poszedł na emeryturę i odtąd jada i sypia dowoli na koszt laboratorium i jest ulubieńcem całego zakładu...

GIMNASTYKA ROŚLIN

Profesor uniwersytetu biologii eksperymentalnej w Illinois dowiódł, że rośliny słabe i wątłe można wzmocnić przez odpowiednią „gimnastykę” — mianowicie przez przywiązywanie do gałązek odpowiednich ciężarków. Profesor robił swe doświadczenia na gałązkach mimosy — rośliny bardzo czułej i wrażliwej; pod wpływem miniatury ciężarków uciepionych na gałązkach mimosy tak się „zahartowała”, że wydała po miesiącu coraz większe i silniejsze pędy. Podobne doświadczenia przeprowadza się obecnie na pomidorach i hiecentach.

W IMIENIU KRÓLA

W imieniu królów wydawano wyrok, ogłaszano ustawy, tworzone prawa.

Formuła „w imieniu” przetrwała do naszych czasów, z odmiannymi takimi jak: prawa, narodu, państwa. Mówiono tedy: „w imieniu narodu”, „w imieniu prawa” itd. — ale zawsze formuła taka miała i ma znaczenie poważne. Inaczej nieco wyglądała ta kwestia w czasach dawnych w Hiszpanii. Tam w „imieniu króla” tańczyły szczury, co jest historycznie za-notowanym faktem!

Oto, jak doszło do tego.

Gdy król Filip V odbywał swój wjazd do Madrytu, jakiś cudacznie przyodziany Hiszpan domagał się koniecznej audiencji u monarchy twierdząc, że ma mu wyjawić coś nader osobliwego.

W mniemaniu, że przynosi wiadomości od których być może zawisło bezpieczeństwo króla lub jakieś pilne relacje polityczne, stawiono Hiszpana przed oblicze Filipa, i wtedy świta królewska niemalże zdumiona była zuchwałstwem petenta, gdy ów oświadczył co następuje:

— Najjaśniejszy Panie, — mówił, — pokazać chcę Waszej Królewskiej Mości rzecz iście cudowną, której ani oko ludzkie nie widziało, ani ucho o niej nie słyszało dotąd. Monarcho znakomity i najlaskawszy! Fenomen, którym zachwycić Ciebie pragnę, o Panie, niechaj będzie dla Ciebie dowodem genialnego ducha w narodzie, nad którym panować Ci przypadło, potężny królu. Pewien jestem, że Ty, monarcho, choć najpotężniejszym i największym jesteś władcą na świecie, równie zdumiewającej rzeczy nie widziałeś, jak moje oto szczury tańczące na linie —

Tu komiczny orator wydobyl z trzymanego drewnianego pudła sześć ustrojonych w miniaturę angielzy szczurów, każąc im tańczyć na rozciągniętej linie.

Sławne te „historyczne” szczury, jak powiada zapisek archiwum dawnych aktów Madrytu, produkowały się pono zgola niepospolicie, tańcząc podług melodii fłażoletu rozmaite hiszpańskie tańce narodowe, bawiać długo króla i jego orszak.

Po skończonym występie chciał król wynagrodzić niezwykłego szczurzego baletmistrza datkiem 500 pistołów, ten jednak daru nie przyjął, prosząc jedynie o królewskie zezwolenie publicznego produkowania się ze swymi tancerzami. Otrzymał to zezwolenie umieścić nad jedną z maderkich obierzy napis tej treści: „Tu wolno w imieniu króla tańczyć szczurom” i podobno zrobił kolosalny majątek na swym pomysle.

„POŁYKACZE” IGIEŁ I BRZYTEW

Do jednego ze szpitali przywieziono słynnego artystę cyrkowego, polykacza brzytwy, który rozchorował się po połknięciu brzytwy oraz... lampki elektrycznej.

Przy tej okazji prasa angielska przypomina wyczyny słynnych „polykaczy”, którzy potrafili polykać najrozmaitsze przedmioty, nie zaszkodziwszy wcale swemu zdrowiu. Irlandczyk Drummond w czasie pobytu w Benglu połknął 150 igieł zwykłych, 700 igieł gramofonowych i brzytwę do golienia — i przy tym wszystkim żył i był zdrow. Jeszcze większe zdumienie budził inny „polykacz”, który połknął 150 igieł, 102 miedziane kluczyki, 150 kawałków szkła, 6 różnych monet, wielki kawał ołowiu i 20 innych podobnych przedmiotów. To się nazywa strusi żołądek!

I pomyśleć, że inni ludzie umierają, np. po połknięciu niewinnej pestki pomarańczy.

I TO TAKŻE BUDZIK

Pewien pomysły inżynier założył oryginalne przedsiębiorstwo, którego zadaniem było ranne budzenie klientów. Budzenie odbywało się zgodnie z zasadami medycyny, która wszak orzeka, że nagle przerwanie snu jest niezmierznie szkodliwe dla ustroju nerwowego człowieka. Stosownie więc do organizmu klienta stosowano przy budzeniu go specjalne metody. Było ich kilka. Jedną z nich np. było przemawianie pieśczętliwym, przyjacielskim tonem, inną wymyślanie ostrym, stanowczym tonem, które nie wahało się nawet przed użyciem słów ordynarnych. Komu i to nie pomagało, miał przed śniadaniem imitację grzmotów. Naturalnie zastosowanie znalazła tu i muzyka. Ludzie o śnie lekkim mieli na powitanie grę na flecie, twardo śpiących budziła trąbka, zaś sentymentalni klienci mieli tony skrzypiec. Podobno oryginalne przedsiębiorstwo cieszyło się dużym powodzeniem i uznaniem.

CZYŻBY ODMIANA WĘŻA MORSKIEGO

W południowej części morza Marmara marynarze pewnego razu wylowili olbrzymią rybę. Głowa jej podobna do grzywy lwa samca, kończyła olbrzymich rozmiarów tułów o długości 16. stóp. Marynarze podczas łowienia tego potwora musieli użyć wszystkich sił i przyrządów technicznych, gdyż „ryba” odznaczała się niesamowitą mocą. Zawiadomione o połowie towarzystwo przyrodnicze początkowo ustosunkowało się sceptycznie, kładąc to na karb łgarstwa marynarskiego i przyjmując za jeszcze jedną wersję o wężu morskim. Szybko jednak zmieniła zdanie, gdy przybyli na miejsce połowu uczeni uznali, że jest to nieznane zoologii zwierzę o organizmie rybnym.

ORYGINALNE METODY HANDLOWE

Formy reklamy są najrozmaitsze, nikt jednak nie przypuszczał chyba, że można korespondencję handlową prowadzić za pomocą... kwiatów. Pewna wielka firma handlowa na wzór balzackowskiego „Lys dans la vallée”, ułożyła słownik kwicistej korespondencji. Przesyła ona mianowicie klientom swym kwiaty. Tym razem jednak piękna pani nie ma czego się cieszyć. Kwiaty zamiast być ucieśnieniem komplementu, mówią rzeczy przykre. Bukietek fiołków mówi bowiem „Futro pani nie jest jeszcze zapłacone” — wiązanka róż zaś „prosimy nie zapominać o naszym rachunku”. Tulipany wysyłane są przez firmę ze sprytnym przysłowiem „Kto płaci długi ten się bogaci”. Tak więc firma zgłębiła sztukę wypowiadania rzeczy przykrych za pomocą formy pięknej i miłej. A to trudne!

ARMIA CITTA DEL WATICANO

Ojciec święty w swym państwie watykańskim rozporządza miniaturą, raczej ceremonialno-dekoratywną armią. Składa się ona ze 120 t. zw. „szwajcarów papieskich”, którzy paradują w czerwono-żółto-czarnych kostiumach, a jako oręż noszą „śmiercionośne” halabardy. Trzeba wiedzieć, że członkami tej gwardii mogą być rzeczywiście jedynie Szwajcarzy. Jest to pozostałość układu papieża Juliusza II z kantonami Zurychu i Lucerny. Miasta te zobowiązały się do dostarczenia Ojcu św. straży przybocznej w liczbie stu dwudziestu ludzi. Wtedy może to i była armia.

ŚREDNIOWIECZNE RYCERSTWO W XX WIEKU

Możliwe, ale chyba tylko na filmie! A tymczasem w rzeczywistości, na jawie i to z praktycznym użyciem. W północnej części afrykańskiej Nigerii panuje suwerennie emir Jola. Naturalnie „władcy” wypadają posiadać własną gwardię. Wybrał przeto emir co najsilniejszych chłopaków ze swego szczepu i uzbroił ich w... zbroje z czasów wypraw krzyżowych. Skąd je wy dostał — niewiadomo. Fakt, że pod palącym słońcem Afryki chodzą rycerze Godfryda de Buillon. A podróżnicy, gdy zobaczą tą gwardię mogą myśleć, że to chyba jakaś fata-morgana.

MĘŻCZYŃNI NOSILI WACHLARZE

Zwykliśmy wyśmiewać się z dziwactw damskiej mody. A tymczasem mało kto z nas wie, że panie mogłyby się odplacić pięknem za nadobne i chichotać w głos z pomysłu jaki zalecał elegantom paryskim za czasów Franciszka I. t. zw. „muguets” jakiś dandys. Polecał on nosić obok peleryn, piór przy kapeluszu i beretach — wachlarze. I co ciekawsze zwyczaj ten przyjął się, a nawet nietaktem było chodzić modnemu kawalerowi bez wachlarza. Dla pocieszenia „płci słabej” dodam, że wtedy jeszcze nieznano wachlarzy jako rekwizytu mody damskiej, panie wzięły go od mężczyzn znacznie, znacznie później.

NAJSTARSZE DRZEWO ŚWIATA

W miejscowości japońskiej Krasaki znajduje się najstarsze na świecie drzewo. Jest to olbrzymia jodła o wysokości ponad 24 metry i objętości 12 metrów. Aby gałęzie drzewa nie ułamały się ze starości i ciężaru zabezpieczono cenny zabytek przyrody rusztowaniem na które składa się 380 drągów-pórek. Drzewo otoczone jest czcią. A obchodziło w tym roku 1310 rocznicę urodzin. Piękny wiek, prawda?

WAPNO ZAPRAWIANE WINEM

W roku 1450 urodził się w Austrii tak kwaśne winogrono, że szynkarze i obywatel Wiednia nie mogąc pić wina sporządzonego z tych winogron wylewali go na ulicę. Aby jednak tak szlachetny trunek spożytkować w godniejszy sposób rozkazał cesarz Fryderyk IV oddać wino do dyspozycji biskupa, który był zajęty przy budowie kościoła św. Szczepań. Wtedy to przy budowie drugiej wieży kościoła św. Szczepańa użyto jako zaprawy murarskiej wina.

ZBYT ENERGICZNE KICHNIĘCIE

Niezwykły wypadek zdarzył się pewnego razu na stacji kolejowej Peterborough w Anglii. Pociąg odjeżdżający w kierunku Londynu dostał właśnie sygnał do odjazdu. Maszynista, który wychylił się przez okno oczekując na sygnał zawiadomienia stacji kichnął w tym momencie. Zawiadowca stacji zdążył jeszcze zauważyć, że maszynista z przerażeniem wyciągnął ręce ku niebu. Tymczasem pociąg ruszył. Po kwadransie wzywają zawiadowcę do telefonu. To maszynista telefonuje z sąsiedniej stacji o swej przygodzie. Otóż na skutek silnego kichnięcia wypadła maszyniście sztuczna szczeka z uszczelnioną obok toru kolejowego szczęką odesłano właścicielowi pociągiem pośpiesznym, tak że jeszcze przed kolacją otrzymał maszynista w Londynie swą zgubę.

STRACH W WILLI

Na niewielkim wzgórzu pod laskiem, stał jednopiętrowy dom, „Willi Krystyna”. Dokoła otaczał go duży ogród, a piękny ogród-park, w którym rosły niebotyczne topole i cyprysy, a tuż przed oknami domu takie kwiaty, jak róże, gwieździny, astry, tulipany i wiele innych pięknych, których obecność świadczyła o tym, że właściciel domu jest dobrym znawcą kwiatów. Ale te ogrodowe piękności, warto było oglądać przed trzema laty, kiedy w willi mieszkał jej gospodarz, istnieć nie wielki uczonej i przyrodnik. Bo od tych trzech lat, dom stał opustoszały. Nikt do niego nie zaglądał, nikt z okolicznych sąsiadów nawet do ogrodu nie odważył się wejść, bo wszyscy, wiedzieli, że w „Willi Krystyny” straszy. Koło willi biegła główna droga, którą jednakże nikt nie chodził i każdy szukał bocznego przejścia, bo przechód koło samotnego domu, przeto pominął wszystkim przykry wypadek, mianowicie makabryczną zbrodnię. Istotnie przed trzema laty, ów sławny przyrodnik zamordował w nim swoją żonę, którą rzekomo przyłapał na gorącym uczynku zdrady. Natychmiast po wypadku zbiegł gdzieś i zaginął bez wieści, a władze śledcze nie zdołały go na razie pochwylić. Natomiast w willi od roku po tej aferze zaczęło straszyć. I ci co najbliższej niej mieszkali, opowiadali, że zawsze po północy słyszą w niej płacz lub płaczącą rozmowę i to tak, jak gdyby ktoś kogoś o coś prosił; niekiedy lament był tak przeraźliwy, że podobny był do wycia psa. Byli też i tacy, którzy opowiadali, że widzieli w oknie stojącą czarną postać, której twarz zakryta była rękoma.

Nie było jednakże śmiałka, który by się odważył wejść do wnętrza i zbadać kto i co straszy, ale wszyscy twierdzili, że najpewniej duch zamordowanej. I często nawet dawali im szkę św. za duszę zmarłej, sądząc, że po tym przestaniu straszyć — ale wszystko na próżno, w „Willi Krystyny” straszy ciągle.

Aż raz zdecydował się jeden „przepędzić stracha”. Był to przybysz z innej okolicy. I kiedy mu o wszystkim opowiedziano, postanowił pójść do willi w nocy i zbadać sprawę. Istotnie tak uczynił. Wziął z sobą latarnię i rewolwer. Była to wtedy noc zimna, słotna. Wszedłszy do wnętrza odsłuchiwał pokój, w którym wedle informacji zawsze straszyło i przykucnąwszy w kącie czekał. Czas mijał wolno. Na dworze zaczęło deszcz, drzewa w pobliskim lasku jakoś przeraźliwie świszczwały, a gdzieś w oddali pies jakiś widocznie podrażniony wichurą zaczął wyć. Chwilami, nie mógł odróżnić czy był to wycie psa, czy wichru. Dolatywało gdzieś z dala, zbliżało się i odchodziło znów. Czasem jakiś dziwny strach przebiegał mu po ciele, ale się szybko opanował i cierpliwie czekał. A nagle usłyszał jakieś kroki w korytarzu. Ręka przesunęła się po drzwiach, szukając klamki. Drzwi się otwarły, zimny wiatr powiał po pokoju, a na progu pojawił się cień. Siedzący w kącie zadrżał i zacisnął zęby, tak że nie mógł krzyknąć choćby chciał. Tymczasem cień zbliżył się do łóżka, jedynego sprzętu, który się w opustoszałym domu znajdował, i poruszył się, jakby chciał coś powiedzieć, a nie mógł zdobyć się na to.

— Anno! — zawołał wreszcie przytłumionym głosem Anno! Wróciłem znów. — Przerwał.

Siedzący w kącie wyteżył oczy. Tak to jest przecież żywy człowiek — pomyślał. Wysoki, silny mężczyzna.

— Czemu mnie ciągle wolaś i każesz wracać. Każda wieść i miasto muszę rzucić, żeby tu przyjść. Ach! co ja się już na męczyłem. Naprawdę wolałbym żeby mnie wreszcie złapał i powiesili bo bym miał spokój.

— Oj, Anno, Anno! Nie chciałem ci wtedy wyjaśnić wszystkiego, a ja trochę pijany i podniecony zazdrością zabiłem Cię. Ach! Czemu ja to zrobiłem? Anno, Anulko, przebac mi!

Zamilkł, zwiesił głowę i siedział tak na łóżku bez ruchu. Pewnej chwili, znów te same zdania i ten sam lament i tak do chwili, kiedy bledziutki świt troszeczkę rozjaśnił czernię noc.

Wtedy wstał z łóżka i chciał wyjść, lecz ku swemu przerażeniu zauważył w kącie skuloną postać.

— Kto pan jest? — zapytał ze zdziwieniem.

— Nic panu z mego nazwiska, bo mnie pan nie zna — odpowiedział siedzący śmiejąc, trzymając rękę w kieszeni z rewolwerem.

— Był pan tu i słyszał pan wszystko?

— Tak, słyszałem.

— Niech się pan nie obawia nic panu nie zrobię. Może pan odejść. Ale siedzący w kącie nie ruszał się. Dopiero jak już dość dobrze się rozwidniło, wyszli obaj.

W dwa tygodnie potem, dzienniki opublikowały wiadomość, że wielki przyrodnik, który zamordował swą żonę, a później sam straszyl w swej willi skazany został na śmierć. Odtąd okoliczni mieszkańcy, w każdą noc spali spokojnie, bo duchy w „Willi Krystyny” przestały straszyć.

B. Szajna

Dr. med. Jasiołdźki
Skrone i weneryczne
WARSZAWA,
Marszałkowska 95 m. 7.
godz. 10 r. - 8 w.
telefon 995-38

Dr. Zofia Kołtuś
choroby kobiece
AKUSZERIA
WARSZAWA,
Koszykowa 19-8
tel. 9-61-40 godz. 5-7

Dr. med.
NOWAKOWSKI
Weneryczne, skrótno
Warszawa,
Wspólna 3 m. 3.
rodz. 11-13, 15-18

Salon obrazów,
dywanów antyków

kupno, sprzedaż, ocena

Kraków, Floriańska 3

MEBLE
KUCHENNE
I POKOJOWE

poleca:

Magazyn

KRAKÓW

Starowiślna 79



Żona: — Ten straszny upór ma nasz mały tylko po tobie.
Mąż: — Oczywiście, przecież ty swój upór jeszcze masz.

(Die Woche)

— Janeczko, kochanie, czy chcesz dziś razem ze mną zjeść colację?
— Z przyjemnością, Ryszardku!
— A więc powiedz swojej mamusi, że przyjdę punktualnie ośmej.

Aktor: — Gdym grał tu pierwszy raz, to publiczność szturmowała do kasy.
— No, i naturalnie musiał pan oddać wszystkie pieniądze.

— Jedynym środkiem przeciw malarii jest wódka.
— A w jaki sposób można ją nabyć?
— Gorączkę malaryczną nabywa się zwykle przez...
— Ja nie pytam się o malarie, tylko o wódkę.

Pociąg przejeżdża przez tunel. Nagle zatrzymano go i okazało się, że pewien młodzieniec pocałował dziewczynę. I ona to poślagnęła za hamulec.

— Ach, czyż nie mogła się w inny sposób bronić? — zapytał ktoś z publiczności.
— Jak to bronić? Tunel tylko wydawał się młodemu dziewczęciu za krótki.



ŚWIAT SIEŚMIĘJE

— Ten stary egipski rękopis dotyczy jakiegoś długu z czasów faraonów i jest wart tysiące!
— To ty się ludzisz, że te pieniądze jeszcze dziś są do ściągnięcia?

Pewna rezolutna dama wchodzi do męskiego oddziału sklepu z bielizną i zwraca się do sprzedawczynie:

— Proszę o sztywny kołnierzyk dla mojego męża!

— Jakiej wielkości, proszę pani?

— Hm, tego nie pamiętam, ale niech pani zmierzy moje dłonie, one dokładnie obejmują jego szyję!

— Czego używa pan do pielęgnowania skóry po goleniu? — pyta golarz, który ma zamiar sprzedać klientowi pudełko pudru.
— Hansaplast — odpowiada klient mocno podrapany.

— Jak się czujesz jako mężatka?
Aktorka: — Zupełnie jak w teatrze. Co dzień następują sceny jedna po drugiej.

— Panno Julciu, pani podobną jest do motylka...

— Pochlebca z pana. Dlaczego do motylka?
— Bo pani też ma kolory, które można zetrzeć.

— Gdzie właściwie znajduje się pański dom, panie sterniku?
— Mój dom? Marynarze są wszędzie w domu.

— A gdzie ma pan narzeczoną?
— W domu.

— To jednak musi być strasznie być żywym pochowanym!
— Myślę, że być pochowanym jako trup, też nie należy do zbyt przyjemności.

Nowy lokator przychodzi z prózną flaszką do gospodyni.

— Przepraszam panią, ale ta flaszka była wczoraj pełna. Czy nie wie pani, kto mógł wypić ten koniak?

— Kto wypił? — odpowiada ostro gospodyni. — To ja! Nie znoszę żadnego alkoholu w moim domu — niech pan pamięta!

— Biedny przyjacielu! Żeby stracić żonę po dwudziestu latach wspólnego pożycia, to przecież okropna rzecz.

— Tak, rzeczywiście! Zwłaszcza, że już powoli zaczynałem się przyzwyczajać do jej obecności.

Żona: — Czytam w dzienniku, że w Ameryce znowu uprowadzono milionerowi żonę.
Mąż: — W Ameryce co innego. My tu w Europie nie mamy szczęścia.

Przechodzień do żebraka: — Że też nie nudzi się wam całe życie tak stać i nic nie robić.

Żebak: — Nie uskarżam się bynajmniej. Każdy zawód ma swoje przykre strony.

— Czy jesteś pewna, że on cię naprawdę kocha? — pyta się Lusi Marysia.

— Naturalnie — zapewnia Lusja.

— A jakie masz na to dowody?

— Powiedział, że potrafiłby dla mnie umrzeć.

— To nic nie znaczy. Wszyscy mężczyźni tak mówią. Nie wierz mu dopóki on naprawdę tego nie uczyni.

— Wstaję z Asnykiem i zasypiam z Asnykiem
— Ja także piszę wiersze, proszę pani!

(Die Woche)



Ojciec: — Cóż szczęście, że widzę pana samego, już myślałem, że flirtuje pan z moją córką.

(Wiener Illustrierte)

SZACHY

KĄCIK SZACHOWY NR 8 (29)

pod redakcją mistrza Europy i świata dra A. Aljechina

Problem nr 6

R. Weigel

Czarne: Kd4, Hb5, Sg6, pionowy: b4, c5, d7 (6).
Białe: Kf1, Hc8, Ge1 i f3, Sd5 i g1, pionowy: b3, c2, f2, f4 (11).

Rozwiązanie problemu nr 5

1. Gb5—d3 e7×d6 (A, B, C) 2. f2—f3! i mat w 3 posunięciu. (A) 1... e7×f6 2. f2—f4! i mat w 3 posunięciu. (B) 1... e7—e6 2. f2×e3! i mat w 3 posunięciu. (C) 1... e7—e5 2. f2×g3! i mat w 3 posunięciu.

Partia nr 100 (102)

Białe: H. Müller
Czarne: Lenner
grana w turnieju o mistrzostwo Wiednia w r. 1942
Obrona hetmańsko-indyjska

1. d2—d4 Sg8—f6	10. Gf1—d3 Sc6—a5
2. c2—c4 e7—e6	11. 0—0 g7—g6 ¹⁾
3. Sb1—c3 Gf8—b4	12. f4—f5! g6×f5
4. Hd1—c2 b7—b6 ¹⁾	13. Gc1—g5 Hd8—c8
5. e2—e4 Gb4×c3+	14. Wa1—e1! Wh8—g8 ⁶⁾
6. b2×c3 d7—d6	15. h2—h4 d6×e5
7. f2—f4 Sb8—c6? ²⁾	16. Gd3×f5! g7 Sa5×c4
8. Sg1—f3 Gc8—b7	17. Gf5×e6! g8
9. e4—e5 ³⁾ Sf6—d7	Czarne poddały się.

U w a g i:

¹⁾ W nowszych czasach gra się tu najczęściej 4. 0—0, ażeby po 5. e4 odpowiedzieć c5!

²⁾ Bezplanowa gra, która doprowadzi wnet do rozpaczliwej sytuacji. Należało grać: 7... e5.

³⁾ Dalszy zysk terenowy.

⁴⁾ Beznadziejnym byłoby też: 11... H—e7 12. f5!

⁵⁾ Piękne posunięcie, które przełamuje linie przeciwnika.

⁶⁾ Gdyby 14... G×f3 15. W×f3 d×e4 to 16. G×f5! itd. z rychłym rozstrzygnięciem.

⁷⁾ Na tym posunięciu zasadał się dowcip ofiary piona w 12-tym ruchu.

⁸⁾ Wymusza wtargnięcie hetmana na h7.



NAJMŁODSZY FOTOAMATOR

Poprawna kompozycja plastyczna o jednolitym motywie wdzięcznego tematu. Nieznaczne usterki natury technicznej oraz niefortunny dobór tła nie zmniejszyły wartości zdjęcia. Wykonał p. Andrzej Żebrowski z Krasnegostawu.

CYGANIE

Temat dobry, jednak z małą sumiennością potraktowana gama walorów artystycznych, zaś kompozycja bez wyczucia i szacunku dla praw harmonii i rytmu. Wykonał p. Kazimierz Ludera z Mościsk.



UWAGA! FOTOAMATORZY!



W GÓRACH NA WSCHODZIE

ODDZIAŁ SZTURMOWY NIEMIECKICH STRZELCÓW GÓRSKICH UDAJE SIĘ NA SWÓJ
POZYCJE ZNAJDUJĄCE SIĘ NA TURNI